Rok II. Nr. 1. Kraków, 1. stycznia 1920 r. Cena egz. 3·50 K. (mr. 2·50)

# ŻYCIE I POWIEŚĆ

DWUTYGODNIK POWSZECHNY

Prenumerata w Krakowie i na prowincyi wraz z przesyłką pocztową wynosi: kwartalnie K. 20·— (mrk. 14·—), półrocznie K. 38·— (mrk. 27·—), rocznie K. 75·— (mrk. 53·—).

Adres Redakcyi i Admin. „Życia i Powieści“: Kraków, Karmelicka 16.
Ogłoszenia do „Życia i Powieści“ przyjmuje wyłącznie Administracya — Kraków, Karmelicka 16.

1920













„NAJSERDECZNIEJSZE ŻYCZENIA“

# Do P. T. Czytelników „Życia i Powieści“!

Starania wydawnictwa „Życia i Powieści“ w kierunku dostarczenia czytelnikom lektury zdrowej i zajmującej, zostały uwieńczone powodzeniem. Pismo nasze, jakkolwiek młode, zdołało już sobie pozyskać uznanie i wielką poczytność wśród szerokich sfer społeczeństwa. Ciesząc się z tak pomyślnego rozwoju, dziękujemy P. T. Czytelnikom za dotychczasowe poparcie. Wydawnictwo „Życia i Powieści“ będzie w dalszym ciągu dokładać wszelkich usiłowań, aby urozmaicić jak najbardziej treść i wzbogacić dział illustracyjny. Mając ten cel na oku, postaraliśmy się o pozyskanie dla redakcyi naszej całego szeregu wybitnych sił literackich. Rozszerzony będzie znacznie dział „humoru i satyry“, wprowadzone zostaną nowe działy, jako to: dział mód, poradnik kosmetyczny, dział gospodarstwa domowego, dział ocen grafologicznych.

W najbliższym czasie rozpoczynamy druk sensacyjnej, niesłychanie interesującej powieści znanego pisarza francuskiego Maurycego Leblarca pod tyt.:

### „POSŁANNICTWO Z PLANETY WENUS.“

Powieść ta, sięgająca śmiało w sferę tajemnic wszechświata, od pierwszego rozdziału przykuwa uwagę czytelnika, aby przez cały czas trzymać ją w najwyższem naprężeniu.

Ponadto drukować będziemy świetną powieść tłómaczoną z angielskiego pióra Toma Gallona p. t.:

### „CZŁOWIEK O JEDNEM OKU“.

Jeden z wybitnych autorów polskich pisze specyalnie dla „Życia i Powieści“ **powieść osnutą na tle najnowszych wydarzeń.**

Prócz tego w roku 1920 ukaże się na łamach naszego pisma **powieść humorystyczna, tryskająca dowcipem i wesołością.**

Ponadto wydawnictwo „Życia i Powieści“ dla stałych prenumeratorów przygotowało **szereg pięknych, cennych premii.**

## BEZPŁATNE PREMIE „ŻYCIA i POWIEŚCI“.

**Dla prenumeratorów rocznych:**

Wszyscy prenumeratorzy roczni otrzymają **bezpłatnie dwie piękne książki, a to do wyboru:**

Sensacyjna powieść Gastona Leroux

**„CZŁOWIEK, KTÓRY POWRÓCIŁ Z TAMTEGO ŚWIATA“.**

Wspaniała fantastyczna powieść Piotra Benoit.

**„TAJEMNICE SAHARY“ (ATLANTYDA).**

Niesłychanie zajmująca powieść Jerzego Malewicza

**„DZIEWCZĘ Z BUZIĄ JAK MALINA“.**

Prócz tego każdy prenumerator roczny może zamieścić **bezpłatnie jedno drobne ogłoszenie (10 wierszy) i przysłać próbkę swego pisma do bezpłatnej oceny grafologicznej.**

Na opakowanie i przesyłkę poleconą książek należy nadesłać 2 K (1·40 M.).

**Dla prenumeratorów półrocznych:**

Wszyscy prenumeratorowie **półroczni otrzymają bezpłatnie**

**„SKARBIEC HUMORU POLSKIEGO“**

wspaniały zbiór dowcipów, humorystycznych wierszy, wesołych opowiadań, humoresek.

Na przesyłkę poleconą „Skarbca humoru polskiego“ nadełasć należy 2K.

**DLA WSZYSTKICH PRENUMERATORÓW „ŻYCIA i POWIEŚCI“.**

Każdy nowoprzybywający prenumerator otrzyma **bezpłatnie** początek wspaniałej powieści Aleks. Dumasa:

**„HRABIA MONTE CHRISTO“**

oraz początek niesłychanie interesującej powieści Stevensona:

**„SOBOWTÓR ALICYI“.**

**ZNIŻKI DLA PRENUMERATORÓW PÓŁROCZNYCH I KWARTALNYCH.**

Każdemu prenumeratorowi półrocznemu i kwartalnemu przysługuje znaczna zniżka przy nabywaniu książek, przeznaczonych na premie dla prenumeratorów rocznych.

Od 1 stycznia 1920 r. z powodu podrożenia klisz, papieru i znacznej podwyżki cennika drukarskiego, prenumerata kwartalna „Życia i Powieści“ wynosi 20 K, 14 Mk., prenum. półroczna 38 K, 27 Mk., prenum. roczna 75 K, 53 Mk. Pojedynczy zeszyt w drobnej sprzedaży kosztuje 3 K 50 h, 2·50 Mk.

**LOTERYA „ŻYCIA I POWIEŚCI“.**

Wszyscy Czytelnicy będą mogli wziąć udział w loteryi, dla której wydawnictwo „Życia i Powieści“ nabyło wspaniały obraz pendzla jednego ze znanych malarzy. **Bliższe szczegóły o sposobie przeprowadzenia loteryi będą podane w numerze najbliższym „Życia i Powieści“.**

## Z Nowym Rokiem.

W toń przeszłości, w ciemnie mroku
Już odszedłeś, Stary Roku,
Nikt za tobą łez nie leje,
Chyba paskarz i złodzieje.

*

Nowy Rok nam się uśmiecha —
Może będzie mieć też „pecha“,
Lecz cieszymy się nadzieją,
Że dni lepsze zajaśnieją.

*

Czytelnicy drodzy, mili,
Niech wam darów swych przychyli,
Niech coś sypnie do kieszonki
Dużo węgla — sporo mąki.

Czytelniczka młoda nasza
Zapowiedzi niech ogłasza,
A młodzieniec, co wąs kręci
Niech weselne gody święci.

*

Niech na naszej polskiej niwie
Odtąd ład i zgoda żywie,
Niech nie będzie to czcze słówko:
Precz i z paskiem i z łapówką!

* * *

**Kuzyn.**

Panna Stasia odwiedziła swoją przyjaciółkę Józię, u której zastała przystojnego młodzieńca.

— Mój kuzyn Julek — rekomenduje go Józia.

— Znam go — odrzecze Stasia — przed miesiącem był moim kuzynem.

**Ballada, jakich wiele.**

Iks miał sprawę w urzędzie. Odmówić musiano,
Bo w prawie tak wyraźnie stoi napisano.
Natychmiast, jak na odpust w jakiej sławnej farze,
Zjawiają się w urzędzie różni dygnitarze,
A wszyscy zacność Iksa pod niebo wynoszą
I o zmianę uchwały, jak jeden mąż, proszą.
— — Skąd ten zapał?... Nie wiecie?... Powiem, nieproszony:
Iks na pasku mydlanym zarobił miliony!...

**P.**

* * *

*M. STEVENSON.*

# Sobowtór Alicyi.

## Powieść z życia amerykańskiego.

7 (Dalszy ciąg).

— Najdziwniejsze historye, to właśnie prawdziwe. Fantazya żadnego powieściopisarza nie zdoła skomponować takich niezwykłych sytuacyi, jakie niekiedy stwarza życie... Panno Irving, jedno muszę pani powiedzieć: poznałem dzielną kobietę.

— A ja bardzo uprzejmego... dżentelmena — odparła z miłym uśmiechem młoda panna. — Jeszcze słówko moi drodzy przyjaciele... Prawdopodobnie chcielibyście zadać mi kilka pytań, dowiedzieć się jakichś bliższych szczegółów, ale z góry wam mówię, że to się na nic nie zda, bo ja oprócz dobrodusznej, trochę wystraszonej murzynki nikogo nie widywałam. Także co do ewentualnego położenia więzienia mojego mogę jedynie tyle powiedzieć, że od czasu do czasu słyszałam głuchy łoskot przejeżdżających pociągów... Więcej nie mogę nic powiedzieć. I proszę was bardzo: nie wspominajcie już o tem, pomóżcie mi zapomnieć.

Zerwała się z krzesła i wyciągnęła ku drowi Flackowi smukłą białą rękę:

— Chodź, doktorku!... zaprowadzę cię do ciotki Mirandy... Gotowa pogniewać się na mnie, że cię w zupełności dla siebie zaokupowałam...

Pociągnęła go za sobą. Oczy jej pałały, zaróżowione nagle policzki jaśniały świeżością wiosny, koralowe usta śmiały się...

Percy Briddger spoglądał za nią, zadając sobie w duchu pytanie:

— Czy ja tę kobietę już przedtem widziałem? Czy to jest narzeczona Reginalda? Czy możliwem jest, aby na świecie istniały dwie kobiety równie piękne? równie urocze?

Trzej młodzi ludzie pożegnali się wkrótce z panem i z panią domu. Skoro znaleźli się na ulicy, Traddleton rzekł:

— Jeżeli ta kobieta dopuszcza się czynu karygodnego, to w każdym razie należy do osobliwego rodzaju przestępców, do nader rzadkiego rodzaju... A może ona jest tylko... powiedzmy... aktorką?...

Reginald potrząsnął głową w zamyśleniu, a Percy zrobił taką minę, jakby mu uwaga detektywa zrobiła przyjemność.

### ROZDZIAŁ VI.

**Dalsze nici snują się...**

Tomasz Traddleton, minąwszy drzwi swego mieszkania, pojechał windą aż na dziesiąte piętro. Pomimo późnej godziny przeświecało światło poprzez drzwi matowego szkła, na których widniała tabliczka z napisem:

„Pani Dalmeny chiromantka i wróżka“.

Zaledwie Traddleton zdążył nacisnąć guzik dzwonka elektrycznego, kiedy już mu otworzyła drzwi młoda smukła, czysto ubrana murzynka.

— Cz-- pani w domu?

— Chodź, chodź Tom — dał się słyszeć głos z głębi mieszkania — pomożesz mi badać gwiazdy...

Traddleton poszedł w kierunku, wskazanym przez ów głos. Minął dwie komnaty połączone ze sobą gotyckimi łukami, urządzone w sposób oryginalny i tajemniczy z bronzowym trójnogiem, dwoma sfinksami, wielką kryształową kulą, wypchar sową itp. przedmiotami, jakie spotyka się zawsze u wszelkiego rodzaju wróżek.

W trzecim pokoju, który niczem nie różnił się od zwykłych mieszkań ludzkich, siedziała pani Dalmenay dobrze zakonserwowana czterdziestoletnia kobieta o siwiejących włosach, czarnych, ogromnie wyrazistych i przenikliwych oczach.

— Cóż cię sprowadza do mnie o tej porze Tom? Poznaję po tobie, że jakaś ważna sprawa. Cóż się stało?

Tom Traddleton przywitawszy się, siadł i zaczął odrazu bez żadnych wstępów i omówień:

— Co możesz mi powiedzieć o Irvingach?

— Jako o rodzinie? — zapytała spokojnie.

— Szczególnie chodzi mi o Jamesa Irvinga... o jego przeszłość.

— Tom, czy to jeszcze oto wprowadzenie chodzi?

— Tak. Nie mam czasu wdawać się w szczegóły. Na dole czekają na mnie dwaj ludzie. Powiedz mi prędko, czy ty i Dora zechcecie mi dopomódz?...

— Jak najchętniej. Dora jest teraz w teatrze, lecz przyjdź jutro rano Tom, a pogadamy...

— Dziekuję!

Traddleton uśmiechnął się z zadowoleniem.

— — — — — — — — — — —

Skoro goście oddalili się, Alicya Irving wkrótce potem udała się do swego pokoju. Pisała ona coś bardzo szybko, kiedy do pokoju weszła panna Miranda, która chciała jeszcze powiedzieć siostrzenicy dobranoc. Z błyskawicznym pośpiechem dziewczyna rzuciła kilka czystych arkusików na swoje pismo i zaczęła skwapliwie szukać czegoś w szufladzie biurka.

— Szukam jednego listu od Reginalda — zauważyła od niechcenia, przewracając trochę gorączkowo papiery. — Zapomniałam go zapytać, na kiedy wyznaczona ta wycieczka automobilowa... Ach! nic nie szkodzi... Jutro znajdzie się list, albo zapytam sama Reginalda...

— Spójrz, moje dziecko, — zawołała ciotka, rzucając wzrokiem na dywan,— czy to nie ten właśnie list, którego szukasz, leży koło biurka?

Panna Miranda schyliła się, aby list podnieść.

— Ach! tak! — siostrzenica wyrwała jej z ręki arkusik i konwulsyjnie ścisnęła go w dłoni.

— Przepraszam ciocię... Potknęłam się wstając i zdaje mi się, żem ci list Reginalda poprostu wydarła z ręki... Leżał na dywanie, a moje wysokie obcasy...

— Ależ to głupstwo... Czyś się tylko nie uderzyła, kochanie? Tak jakoś głos ci się zmienił nagle... i pobladłaś...

— Ależ nic mi nie jest. Poprostu czuję się trochę zmęczona i spać mi się chce...

— Więc połóż się zaraz...

— Tak jest, położę. Dobranoc, ciociu.

— Dobranoc, Alicyo. Czy zadzwonić na Hortensyę?

— Dziękuję, nie trzeba. Rozbiorę się dzisiaj sama.

Kiedy za panną Mirandą zamknęły się drzwi, Alicya stała przez chwilę bez ruchu, nasłuchując... Potem cicho i ostrożnie przekręciła klucz w zamku. Uczyniwszy to, wzięła list, podjęty z dywanu, podarła go w drobne strzępy, które podpaliła płonącą zapałką... Potem siadły przy biurku i dokończyła zaczęty poprzednio list, włożyła do koperty, zalepiła i zamknęła na klucz w biurku.

— Och! — westchnęła, zasłaniając rękami twarz — och! jakże to wszystko dla mnie wstrętne.

* * *

— To nie jest Alicya Irving! — oświadczył dr. Flack, — to nie nasza Alicya... Ale panowie!... niech mnie wszyscy dyabli wezmą, jeżeli nie jest po Alicyi najbardziej zachwycający twór matki natury!

Nastała chwila ciężkiej, przygnębiającej ciszy. Grey pierwszy przerwał milczenie, mówiąc głuchym głosem:

— Więc już wiemy!...

Doktór potrząsnął niecierpliwie głową.

— Chcielibyście poznać podstawy mojego orzeczenia, ale to są rzeczy niesłychanie trudne do określenia... Ta dziewczyna jest równie piękna i miła i podobna do Alicyi, jak jedna kropla wody do drugiej... A jednak to nie Alicya... Blizny na przedramieniu niem Alicya... Blizny na przedramieniu niema ale sądzę, że ta... ta... czy ja wiem jak ją nazwać!... nie wie wogóle, o istnieniu tej blizny... Musiała ona wszakże znać osobiście Alicyę, i naśladuje wiele jej ruchów, powiedzeń, jej sposób patrzenia... Chociaż są różnice... Ona doskonale gra Alicyę, a przecież czuje się, że to tylko aktorka!...

— Traddleton — zawołał Reginald wzburzony — na miłość Boską! radź pan! co robić?!...

— Przystąpić do czynu — odpowiedział spokojnie detektyw. — Przedewszystkiem jedno pytanie: Czy pan życzy sobie, abym ja się tą sprawą zajął?

— Ależ oczywiście!

— Musi pan jednak wprzód dowiedzieć się, że ja mam swój system roboty... Że podejmuję się sprawy tylko w takim wypadku, kiedy mi się pozostawia zupełnie wolną rękę.

— To znaczy?

— Od chwili, gdy wezmę sprawę w moje ręce, będziemy się schodzić bardzo rzadko i to w najściślejszej tajemnicy. Również strzedz się należy, aby ktokolwiek, oprócz nas i osób, któremi będziemy zmuszeni posługiwać się — przez chwilę nawet powziął podejrzenie, iż istnieją wątpliwości co do autentyczności osoby panny Irving!

— To rozumie się samo przez się!

— Pan, panie Grey będziesz musiał przyjąć rolę prawdopodobnie niebardzo w twoim guście. Dla dobra sprawy, musisz pan w dalszym ciągu odgrywać wobec tego sobowtóra przyszłego narzeczonego...

— Domyślałem się tego odrazu — rzekł Reginald — uczynię wszystko, co pan będzie uważał za stosowne.

— Ja także poddaję się pańskim rozkazom — oświadczył Percy.

— I ja! — zawołał doktór. — A więc do dzieła Traddleton! zaczynaj!...

— O!... — uśmiechnął się detektyw — ja już zacząłem.

— Jakto?! — wykrzyknął Reginald.

— Nie mogę panu tego bliżej wyjaśnić na razie. Od jutra rozsyłam kilkunastu sprytnych, rutynowanych ludzi, którzy przeszukają teren... Będą oni występowali w roli agentów ubezpieczeniowych, urzędników, sporządzających spis ludności, turystów, cyklistów itp... Jednocześnie poczyniłem zarządzenia w celu zasięgnięcia informacyi o przeszłości pana Jamesa Irvinga.

— Sądzę, że przeszłość ta jest chyba bez zarzuty... — zauważył w zadumie Reginald.

— I ja tak sądzę. Być może jednak, iż ma on jakichś wrogów... No a przytem... przytem... fakt istnienia tej... „ersatz"-Alicyi... Czy takie zdumiewające podobieństwo nie daje dużo do myślenia?

— Więc pan myśli, że... — wykrzyknął Reginald, a dr. Flack mruknął:

— Głupstwa i tyle!...

— Panie Grey, zapewne ma pan niejedną fotografię panny Irving... Mogłoby to być użytecznem, gdyby pan te podobizny zechciał mi na jakiś czas powierzyć... I jeszcze jedno... Niech pan skłoni tę pannę, aby się odfotografowała! i to jak najprędzej! Jutro panu powiem na co mi fotografie potrzebne. .

ROZDZIAŁ VII.

**Na nieznanym tropie.**

Stworzenie „lotnego oddziału" agentów policyjnych nie było rzeczą trudną. Zadanie to po namyśle Traddleton zdecydował się powierzyć Briddger, który żył w przyjaźni z bardzo zdolnym urzędnikiem policyi Robertsonem.

Wkrótce przy użyciu środków „brzęczących" — udało się otoczyć miasto pierścieniem obserwatorów, przyczem obecność ich została w sposób pomysłowy uzasadniona. Już następnego dnia w wieczornych gazetach pojawiła się tajemnicza, wzruszająca historya, o zaginionem dziecku, zrozpaczonej, przecudnie pięknej matce o rozwiedzionym, mściwym, podstępnym mężu, który prawdopodobnie porwał dziecko i trzyma je w ukryciu. (C. d. .).

# 8 dni bez pożywienia.

**W wątłem czółnie na pełnem morzu. — Męki głodu. — Krew towarzysza napojem... — Ląd okazał się „fata morgana". — Niespodziana pomoc.**

Gazeta fińska „Abo Underrättelser" zamieszcza ciekawy opis o osobliwej podróży morskiej 2 młodych ludzi, który w swej awanturniczej grozie zdaje się prawie nieprawdopodobny. Dnia 6 czerwca wyjechali z Christianstadt łódką otwartą na morze 25-letni marynarz Karol Leopold Bromels i przyjaciel jego 21-letni Karol Gunnar Gröning. Zamierzali uczynić 1-dniową wycieczkę, dla tego zabrali z sobą jako przekąskę tylko kilka kawałków chleba. Tymczasem nie ujechali jeszcze godziny, gdy podniósł się silny północno-wschodni wicher, który popędził łódkę daleko na morze. 2 dni i 2 noce wiatr rzucał łódkę tu i tam i pędził coraz dalej na morze. Położenie pogorszyło się jeszcze przez to, że Gröning zasłabł na morską chorobę, tak, że Bromels największych dokładał starań, aby za pomocą wioseł utrzymać czółno na falach, oraz ażeby Gröning w gorączce nie wyskoczył z łodzi, czyli, jak sam mówił, nie wysiadł na ląd. Wreszcie wicher się uspokoił, ustała też choroba Gröninga; za to pojawiło się widmo głodu coraz wyraźniejsze, coraz bardziej przerażające. Męka powiększała się jeszcze przez to. że w dzień paliły promienie słoneczne, a noce były lodowato zimne. Bez żadnego przykrycia młodzi ludzie spoczywali na dnie łodzi nieraz w przemoczonej odzieży.

Tak upływały dnie i noce, a łódź pędziła coraz dalej na morze. W oddali zamajaczyły dwa statki, lecz nieszczęśliwi marynarze nie mogli zwrócić na siebie ich uwagi, jakkolwiek dawali im znaki. Wreszcie 7 dnia, gdy byli już napół żywi, zdawało im się, że widzą na dalekim horyzoncie ciemne pasmo, które uważali za ziemię. Postanowili ostatnim wysiłkiem dotrzeć do niego. W jaki sposób miał jednak Bromels wycieńczony głodem, znaleść siłę do wiosłowania? — Wówczas to wpadli na pomysł, który wskazuje, jak okropne było ich położenie. Bromels otworzył żyłę swego towarzysza i za jego wiedzą odjął mu pół litra krwi, którą wypił, aby siły nabrać. „Brzmi to okropnie, przyznaje Bromels sam, lecz zapewniam was, że w chwili tej byłbym pożerał mięso ludzkie, w nadziei możliwego ratunku". Jakie gorzkie musiało być rozczarowanie, gdy po 20-godzinnem wiosłowaniu okazało się, że pasmo ziemne było tylko zwykłą „fata morgana". „Była to chwila bezbrzeżnej rozpaczy — opowiada w dalszym ciągu marynarz — uważaliśmy się teraz za skazanych na śmierć niechybną. Byliśmy tak wyczerpani, iż ledwie mogliśmy mówić. Przygotowani na śmierć zapadliśmy w rodzaj odrętwienia sennego, trwającego około 24 godzin; 8 dnia nadeszła niespodziana pomoc. O godz. 1 obudziliśmy się i ujrzeli 2 olbrzymie ptaki, krążące nad nami. Były to samoloty wodne. Dostrzegłszy nas, opuściły się niżej i lotnicy zawołali na nas. W krótkości opowiedzieliśmy swoje okropne położenie i prosiliśmy o pomoc. Załoga samolotów chciała nam odstąpić trochę pożywienia i butelkę mleka, odpowiedzieliśmy jednak, że umieramy z głodu i błagaliśmy o zabranie nas do samoloaów. Po krótkiej naradzie zgodzono się. Każdy statek powietrzny zabrał jednego z nas i tak poszybowaliśmy przez powietrze. Byliśmy ocaleni!



## Z ślusarza — ministrem.

**Karjera ministra Bartla.**

Karyera życiowa nowego ministra kolei żelaznych, Dra Kazimierza Bartla, jest wprost powieściowa. Wszystko, co tylko dotychczas zdołał osiągnąć, zawdzięcza samemu sobie: swojej energii, swoim zdolnościom.

Urodzony we Lwowie w roku 1882 ukończył tamtejszą szkołę przemysłową, na oddziale ślusarskim, poczem pracował jako ślusarz w kilku fabrykach krajowych i zagranicznych, między innymi w firmie Siemens i Halske, w fabryce lokomotyw w Florisdorfie pod Wiedniem i in. Był także przez pewien czas zajęty w lwowskich warsztatach kolejowych i instalował świeżo wówczas zaprowadzone semafory na linii Lwów—Ławoczne. Pośród ciężkiej pracy fizycznej dla chleba, uczył się dalej i w r. 1902 zdał, jako prywatysta, maturę w lwowskiej szkole realnej. Po maturze zapisał się na Politechnikę lwowską, na wydział budowy maszyn. Pou kończeniu jej w roku 1907 ze świetnym wynikiem, ze stopniem „znamienicie uzdolniony“, został asystentem przy katedrze geometryi wykreślnej na Politechnice, a zarazem uzupełniał swoje studya w Uniwersytecie. Później wyjechał do Monachium, gdzie przez rok kształcił się dalej i czynnym był jako asystent znanego profesora Doehlemana. W tym czasie ogłosił drukiem pierwszą swą pracę. Po powrocie do kraju uzyskał doktorat nauk technicznych i wkrótce potem habilitował się w zakresie geometryi wykreślnej, która jest jego umiłowanym przedmiotem. Wykładał na Politechnice zrazu jako docent prywatny, a po ustąpieniu z katedry tego przedmiotu, został mianowanym profesorem nadzwyczajnym.

Powołany w czasie wojny do służby wojskowej i przydzielony do pułku kolejowego, brał udział w wielkiej ofenzywie w r. 1915 od Gorlic aż po Wołyń. W służbie pozostawał aż do roku 1918, kiedy na usilne starania Politechniki powrócił na katedrę już jako profesor zwyczajny.

W listopadzie roku ubiegłego zgłosił się do służby w obronie Lwowa i zapisał się chlubnie na kartach jej historyi. Stworzył — z niczego — batalion kolejowy i utrzymywał w ruchu przez cały czas linię kolejową, jedyną nitkę, łączącą Lwów z zachodem. Po czasowem odcięciu Lwowa, naprawił zdumiewająco szybko zniszczoną gruntownie w kilku miejscach linię i w kilku dniach wysadzone mosty. W czerwcu b. r. został powołany do sztabu generalnego w Warszawie, gdzie prowadził oddział kolejowy. — W październiku b. r. wraca ze szlifami majora na katedrę profesorską, którą teraz opuszcza jako minister.

Politycznie nie dał się dotychczas poznać na szerszej arenie. Zagłębiony w działalności naukowej i nauczycielskiej unikał polityki. Nie należy do żadnego stronnictwa, sympatyami ciąży jednak — zdaje się — do ludowców.

---

## „Białe fartuszki“

### Konstantego Krumłowskiego w „Teatrze Powszechnym“ w Krakowie.

Konstanty Krumłowski autor ulubionej „Królowej Przedmieścia“, „Ślubów Dębnickich“ i „Przewodnika Tatrzańskiego“, wystawił nową sztukę, która ma zapewnione na długo powodzenie. Żywa, zajmująca akcya, pogodny, swojski humor i szczery, serdeczny sentyment — oto zalety cechujące „Białe fartuszki“, grane na scenie „Teatru Powszechnego“ w Krakowie.

Akcya sztuki snuje się dokoła miłości służącej Bronki i panicza dra Zdzisława. Historya stara, a wiecznie nowa:

Tam przy kuchni w pokoiku,
Przy dziewczynie w perkaliku,
Wyśledzili to sąsiedzi,
Młody panicz długo siedzi.
Lata idą, czas ucieka,
Panicz wyszedł na człowieka,
Zapomniana miłość skryta
O dziewczynę już nie pyta!
Lecz w snach widzi płową główkę,
I twarzyczkę niby kwiat,
Ową małą pokojówkę,
Którą kochał z młodych lat.

Matka panicza dowiedziawszy się o wszystkiem, wypędziła z domu Bronkę, a los zaprowadził dziewczynę do domu, gdzie pan Zdzisław ma narzeczoną, dumną pannę Adelę... Bronka rezygnując ze swych dawnych praw, usuwa się w cień, ale panna Adela nabrała podejrzeń i powodowana złośliwością, pragnie upokorzyć służącą. W obecności Zdzisława każe jej przymierzać welon ślubny. W sercu młodzieńca zakipiało coś, uniesiony oburzeniem, woła:

— Bronka! dosyć tych upokorzeń! Ja się z tobą ożenię!...

Łatwo to powiedzieć trudniej wykonać. Termin ślubu odwleka się, Bronka czeka w suterynach u praczki Stanisławowej, tęskniąc za placem Szczepańskim, koleżankami, przygłuchą Wikcią i zalotną, wesołą Stefką, za bramą, w której można wystawać i za kuchnią, gdzie panicz przychodził ukradkiem... Narzeczony imponuje jej jeszcze, ale serce zaczyna ciągnąć dziewczynę do ekspressa Felka.

Krasna czapka, bluzka siwa,
Ekspress zuch, co się nazywa,
Do mnie idzie każdy gość,
Mam roboty zawsze dość

śpiewa o sobie Felek, któremu także bardzo spodobała się ładna Bronka. No i przychodzi to, co przyjść musiało. Panicz ma już dość „sielanki“ i zrywa z Bronką. Ale ona bynajmniej nie martwi się tem długo, pocieszą ją Felek i projektowana wycieczka na Bielany, o której tak śpiewa wesołe towarzystwo złożone z „białych fartuszków“ ekspressa i czeladnika szewskiego:

Hej w Bielańskim lasku,
Co tu ruchu, wrzasku,
Jakby całe piekło
Pod Kraków uciekło!
Jazda na huśtawce,
Odpoczynek w trawce,
Romanse wśród krzaków,
Tak się bawi Kraków!
Szumią kiecki i fartuszki
Po gaju —
Pokazują panny nóżki,
O! raju!
Każdy z brzaną albo dwiema
Kto cwany —
Tylko dla mnie pary niema,
O! rany!...

Pan Zdzisław wraca do dawnej narzeczonej, ekspress żeni się z Bronką, a milutki, figlarny podlotek siostra Adeli, Janka zdobywa miłość Hipcia, uczonego profesora „żabologa“.

Janka i Hipcio śpiewają śliczny, melodyjny, pełen uczucia duecik:

J a n k a.

Kamienica była duża,
W niej okienko od podwórza,
Nad okienkiem gzymsy, rynny,
Tam spędziłam wiek dziecinny.

H i p c i o.

Naprzeciwko w oficynie
Kuł studencik po łacinie.
Tryby, czasy i przypadki,
Okiem zerkał do sąsiadki.

J a n k a.

Czy pamiętasz?

H i p c i o.

Jakby dziś!

J a n k a.

Czy panienkę poznałbyś?

R a z e m.

Te wspomnienia — to rzecz święta,
Znam panienkę — znam studenta!
W różne strony świata poszli,
Spotkali się już dorośli.

Kto chce spędzić miły wieczór — niech spieszy zobaczyć „Białe fartuszki“ w „Teatrze Powszechnym“.

**M. J. Migowa.**

# Czwarty mędrzec

## ze wschodu.

(Stara legenda wschodnia).

Powiadają, że wówczas, kiedy na niebie zabłysła gwiazda przedziwnej piękności i blasku, wskazując drogę do Betleem w ziemi Judzkiej — zobaczyło ją czterech mędrców ze Wschodu.

Mędrcy owi zrozumieli, że narodził się Zbawiciel świata, Pan nad Pany przez proroków wieszczony i oczekiwany. Pojęli, że zstąpił na ziemię w dalekiej krainie, w mieście Betleem wedle słów proroctwa: „I ty Betleem, ziemio Judzka, z żadnej miary nie jesteś najpodlejsze między książęty Judzkiemi, albowiem z Ciebie wynijdzie wódz, który będzie rządził lud mój Izraelski“.

Postanowili czterej mędrcy wyruszyć w drogę daleką, aby złożyć hołd Władcy świata i Pana nad Pany i ofiarować mu dary.

Wyznaczyli sobie miejsce wspólnego spotkania, ale trzej tylko przybyli na umówiony punkt zborny. Czwarty towarzysz spóźnił się.

Wybrali się więc ci trzej w podróż bez niego. Bez szczególnych przygód i przeszkód dotarli do miasta Betleem i znaleźli tam dzieciątko w żłobie. Jako Panu cześć Mu oddali i dary złożyli w ofierze: złoto, kadzidło i mirrę.

Czwarty mędrzec spieszył także na umówione miejsce, ale w drodze spotkał człowieka, którego rozbójnicy poranili i obrabowali.

Zabiło litością serce mędrca. Jął opatrywać rany onego człowieka, posadził go na swego konia i pocieszał słodkiemi słowy.

Ale poszkodowany płakał wciąż i jęczał: co ja pocznę nieszczęsny!... Niegodziwcy zabrali mi całe moje mienie! Jestem teraz żebrakiem!...

Nagle posłyszał mędrzec głos przesłodki, a jednak tak mocny, jak naj silniejszy nakaz:

— Oddaj mu jeden z klejnotów, które wieziesz dla Pana!...

Nie wiedział mędrzec, czy głos ten rozbrzmiewa kędyś po za nim, czy to przemawia jego własne serce, ale usłuchać musiał.

Wziął ze sobą dla Pana trzy przecudne kamienie: dyament jasny, jak słońce, rubin czerwony, jak krew i szmaragd zielony, jak morze.

Dobył z sakwy dyament i oddał go obrabowanemu przez zbójców człowiekowi.

Potem odjechał spiesznie, żegnany dziękczynieniami obdarowanego.

I jechał długo... bardzo długo... Gwiazda Betleemska nie gasła, lecz wiodła go, wskazując mu drogę...

Po wielu, wielu dniach uciążliwej podróży, przybył nareszcie do Betleem, ale nie zastał tam Pana.

Mieścina pełna była rzymskich żołdaków i płaczących matek. Wszędy rozbrzmiewały lamenty i żałosne skargi, bo oto okrutny król Herod wydał rozkaz, że wszystkie niemowlęta umrzeć muszą.

Mędrzec przejeżdżając ulicami miasta, zobaczył przed jednym z domów młodą niewiastę, która padła na kolana przed żołnierzem rzymskim i błagała o litość dla dziecięcia swego.

Ale żołdak głuchy był na wszelkie prośby i wciąż powtarzał uparcie:

— Oddaj dziecko!

Już wyciągnął rękę, by wydrzec dziecię z ramion matki.

— O! ja nieszczęsna! — jęknęła niewiasta — czemuż nie mam pieniędzy ni klejnotów... Może dar bogaty skruszyłby to twarde serce łatwiej, niżeli łzy matki!...

Mędrzec posłyszał znowu słodki, łagodny, miłościwy głos:

— Oddaj temu żołnierzowi twój rubin!

I znowu dobył klejnot i oddał go żołnierzowi. Dziecię było ocalonem. Mędrzec opuścił Betleem, a długo jeszcze rozbrzmiewały za nim dziękczynne słowa i błogosławieństwa uszczęśliwionej matki.

Wędrował tak długie lata prowadzony wciąż przez niegasnącą gwiazdę, która świeciła mu we dnie i w nocy...

Wiodła go gwiazda ona przez lat przeszło trzydzieści... Był w Egipcie, w Nazaret, w Galilei, ale nigdzie nie zastał Pana...

Nareszcie znużony i utrudzony przybył do Jerozolimy i tam jak zwykle zapytał o Króla Żydowskiego.

— Tak jest — odpowiedziano mu z szyderczym śmiechem — jest tutaj Król żydowski... — jeśli chcesz zobaczyć ciekawe widowisko, to śpiesz się, chodź z nami... Idziemy właśnie pa-



## Najmodniejsze fryzury.

Illustracya nasza przedstawia kilka najmodniejszych, najbardziej efektownych fryzur, które niezawodnie w nadchodzącym karnawale odniosą sukces. Pierwsza fryzura niezwykle subtelna i powiewna, utworzona jest z ognisto-złotych tycyanowskich włosów, silnie sfalowanych... Poprzez „chignon“ z loków przeciągnięty jest wolant z zielonego muślinu, naszywany perełkami. Kilka czarnych „rajerów“ ocienia twarz.

Druga fryzura ujmuje jasno-popielate włosy w pełną smaku a skromną kreacyę. „Chignon“ z loków przytrzymany jest szyldkretowym grzebieniem.

Czarna wstążka i umieszczone nad czołem „rajery“ zdobią trzecią fryzurę.

W innym rodzaju jest czwarta fryzura, gdzie ciemno-kasztanowate sploty zostały ujęte w fantazyjny węzeł i ozdobione liśćmi z czarnego aksamitu.

Piąta fryzura ujawnia wdzięk owiniętych dokoła głowy warkoczy wśród morza sfalowanych drobnych loczków.

Szósta fryzura łączy wysoki „chignon“ z przednią ondulowaną częścią koafiury.

trzeć, jak będzie umierał haniebną śmiercią na krzyżu...

Posmutniał mędrzec i odwrócił głowę.

Wówczas zobaczył smukłego, pięknego młodzieńca, który miał ręce związane.

Młodzieniec rzucił się do nóg mężczyźnie o twarzy twardej, surowej i prosił o zmiłowanie.

Winien był temu człowiekowi pewną kwotę, a że zapłacić nie mógł, uprowadzono go w niewolę.

I znowu ozwał się ów głos dwakroć już przez mędrca słyszany:

— Oddaj mu twój szmaragd!

Mędrzec wyjął kamień i obejrzał go. To był ostatni dar, jaki zachował dla Pana swego, a jednak oddał go posłuszny wewnętrznemu nakazowi.

Młodzieniec odszedł wolny, płacząc z radości.

Nagle ściemniło się, niebo pokryło się czarnemi chmurami, ziemia zatrzęsła się. Poczęły się walić mury. Jeden z oderwanych kamieni ugodził mędrca tak silnie w głowę, że padł na ziemię.

— Umieram — zawołał — nie będę mógł oglądać już oblicza Pana mego! Nie mam już dla niego żadnego daru! Snać nie godzien byłem łaski...

Zaledwie wyrzekł te słowa — dziwnie łagodne światło rozdarły ciemności i w poświacie ukazała się promienna postać Człowieka.

Długie, złote włosy, spadały mu na ramiona, oczy jaśniały, jak gwiazdy, wyciągnięte ręce były przebite.

Oblicze promieniało mu nieziemską bezmierną dobrocią. I tym samym słodkim głosem, który po trzykroć ozwał się w sercu mędrca, przemówił:

— Szukałeś mnie, a ja jestem zawsze z tobą. Cokolwiek uczyniłeś najnędzniejszemu z braci moich, mnie samemu uczyniłeś! **M. J. M.**

# Dlaczego ludzie łysieją?

**Włosy wypadają. — Łysina modną chorobą. — Łysi młodzieńcy. — Wypadanie włosów po grypie i tyfusie brzusznym. — Łysina dziedziczna.**

Wojna obecna stoi pod znakiem braków. Gdzie popatrzymy, dokąd zajrzymy, wszędzie obija się o uszy nasze słowo: brak. Brak żywności, mięsa i kartofli, węgla i banknotów koronowych, brak i w wojnie obecnej — włosów.

Brak ten odczuwa płeć piękna i brzydka. Piękna pomaga sobie perukami, wkładkami i modnymi lokami; brzydka natomiast poddaje się losowi, lub też i nie poddaje się, usiłując pozostałymi włosami jak bankrut zakryć braki.

Łysina jest chorobą i to chorobą częstą i modną. Przywykliśmy do łysin ludzi starszych i naukowo pracujących — przyzwyczajamy się dziś powoli do łysin chłopców i robotników.

Brak włosów pojawia się u człowieka w dwóch postaciach: ogólnej i częściowej. Łysina obejmuje całe owłosienie lub owłosienie głowy, czasem obejmuje tylko części ograniczone owłosienia np. pod postacią krążków.

Łysina występuje jako choroba swoista, albo też jako objaw towarzyszący chorobom innym. Częsty n. p. jest obecnie zanik włosów po grypie. Podobnie mogą zanikać włosy po zapaleniu płuc, tyfusie brzusznym i plamistym. Chorobom tym towarzyszy przeważnie tylko rozrzedzenie włosów, rzadziej zupełna łysina, występuje ona zwykle w czasie choroby, trwa przez czas rekonwalescencyi, a potem ustępuje, owłosienie wraca do wyglądu normalnego. Przejściowym jest także zanik włosów przy kile (syfilis), a ustępuje po zastosowaniu środków antisyfilitycznych.

Te postacie łysin, jakkolwiek częste, nie odbijają się tak bardzo na humorach dorodnych młodzieńców i rozkapryszonych pań. Najdotkliwszą i najczęstszą jest trwała łysina przedwczesna, albo przedstarcza (Alopecia praematura spaesenilis). Ten rodzaj łysiny pojawiał się dotychczas u schyłku trzydziestki, dziś jednak i u dwudziestoletnich młodzieńców nie należy do zbytniej rzadkości. W przebiegu tej chronicznej choroby stwierdził Pohl-Pincus w swych żmudnych badaniach dwa stadya. W stadyum pierwszem włos staje się krótszym, aniżeli zwyczajnie, nie tracąc nic ani swej grubości, ani też i siły i stąd łatwo to stadyum przeoczamy. W stadyum drugiem grubość i siła włosa ulega zmianie, a wtedy na środki zaradcze często i zapóźno.

Rozliczne są czynniki, wywołujące tę przedwczesną łysinę. Niepoślednią rolę odgrywa dziedziczność. Wedle badań Mayera winą łysiny jest niedostateczne odżywienie podłoża włosowego przez krew, a przyczyną tego jest często silne napięcie skóry na czaszce, pozostające w związku z budową czaszki. Badania Sonfelda i Mayera wykazały, że dzieci odziedziczają po rodzicach tę napiętą na czaszce skórę, a temsamem i przedwczesną łysinę. Czynnikiem łysiejącym miały być i bakterye, badania jednak lat ostatnich wykazały błędność tych zapatrywań. Głównym czynnikiem, wywołującym przedwczesną łysinę, to łojotok (seborrhea) i to jako oleisty i suchy. Łojotok oleisty występuje rzadziej, pojawia się wtedy oleista powłoka włosów. Częściej pojawia się łojotok suchy. Wydzielina gruczołów łojowych przemienia się wtedy łatwo w łuski i jako łupież pokrywa włosową część skóry. Łuski łupieżu poddane badaniu wykazały $^{3}/_{5}$ tłuszczów, a $^{2}/_{5}$ masy nabłonka.

Przyczyną łupieży może być nietylko nadmiar tłuszczu, ale i brak jego. Z powodu braku tłuszczu następuje nadmierne zrogowacenie, a następnie jego łuszczenie się.

I też z tego punktu widzenia może być prowadzone leczenie, jeśli za mało jest tłuszczu, należy tłuszczu dodać, jeśli natomiast za dużo, odjąć. Łupież usuwany rozmaitemi mydłami (siarczanemi, dziegdziowemi), a następnie rozmaitymi środkami, bądźto tłuszcz usuwamy, bądź też doprowadzamy.

Łysiejący ludzie dążyć powinni w pierwszym rzędzie do utrzymania pozostałych włosów, przestrzegając prawa hygieny, ale nie przesadzając je, mycie włosów raz w tygodniu wystarcza. Grzebienie winne być z rogu lub innej substancyi, nigdy jednak ze stali. Ciężar na głowie winien być możliwie najmniejszy, lekkie kapelusze, małej objętości, żadne sprężynowe wkładki do włosów u pań szpilki i szpileczki, grzebienie i grzebyczki. — Ondulowanie włosów, zwijanie w papiloty oczywiście włosy niszczy.

Walka z łysiną ogranicza się tylko i wyłącznie do przestrzegania praw hygieny włosów. Jeśli łysina się już pojawia, starać winniśmy się nie o smary, czy olejki dla odrastania włosów, ale do utrzymania włosów jeszcze żyjących.

Próby odzyskania włosienia są czasem uwieńczone skutkiem, ale jak często odpowiedzą łysiny prawie że wszystkich lekarzy chorób skórnych.

**Dr. Mierzecki.**

---

# Rady rozsądnej mamy dla córki.

Panna Zosia — cud dziewoja
Już dojrzała — do zamęścia —
„Mamo woła — mamo moja!
Jak pijana jestem z szczęścia!
Pomyśl jeno — jakby w baśni,
Co się teraz nie wyrabia!
Z górnych sfer zstępują „jaśni“,
Że mną chce się żenić hrabia!
I to hrabia piękny, młody,
Co za szczęście niesłychane!
Że za cenę mej urody,
Ja hrabiną wnet zostanę!“.
Lecz rozsądna mama zaraz
Gasi córy swojej zapał:
„Co tam — mówi — to ambaras,
Ktoby się tam na to łapał!
Cóż z tytułu ci hrabiny
I ze świetnych koligacyi,
Gdy zabraknie wam słoniny,
Lub gdyć ujmą chleba racyi?
Więc ci radzę, moje dziecię,
Przestań być arystokratką;
Na rzeźnika zarzuć siecie,
Co da serce razem z jatką!“...

**Mir.**

## Zjadacze ziemi.

Ludzie, zjadający ziemię, mają naukową nazwę geofagów. W naszym klimacie nie spotyka się ich, ale znany podróżnik F. Geay zetknął się z nimi nad brzegami rzeki Orinoko. Wprawdzie nieraz i u nas widzi się na wsi umorusane ziemią dzieci, które grudki tej ziemi połykają, ale to są wypadki sporadyczne, nie przechodzące w nałóg.



Nad brzegami Orinoko zjadacze ziemi są liczni i nie mogą odzwyczaić się od tego nałogu, podobnie jak namiętny palacz od tytoniu lub pijak od alkoholu. Zjadanie ziemi odbija się bardzo wyraziście na wyglądzie danego osobnika, ujawnia się wychudzeniem całej postaci przy równoczesnem chorobliwem wydęciu brzucha. Zmienia się także wyraz fizyognomii, przybierając charakterystyczne znamiona, kretynizmu. Odzwyczajanie geofagów od tego zgubnego nałogu nie należy bynajmniej do rzeczy łatwych... Przy pierwszych próbach pozbawienia go szkodliwego narkotyku, zjadacz ziemi wybucha gniewem, dostaje ataku nerwowego i usiłuje przemocą zdobyć ziemię, którąby mógł pożerać...

Geay spotkał wielu geofagów w czasie swych podróży po Ameryce Południowej. W okolicach, gdzie szerzył się ten szkodliwy nałóg dorośli ludzie podobni byli zupełnie do dzieci: całe ciało odznaczało się niesłychaną chudością, tak iż poprostu zdawało się, iż kości poprzerzynają skórę. Olbrzymi brzuch i koścista głowa ze znamionami wyraźnemi kretynizmu — cechowały tych ludzi, budzących zarazem litość i wstręt.

* * *
*

## Jak Chińczycy wyobrażają sobie stworzenie świata.

Chińczycy, naród zamieszkujący już od dawien dawno kraje nad wodami Hoang-ho czyli Żółtej rzeki w Azyi, posiadają tak jak i inne narody mityczne podania i legendy, między niemi także podanie o powstaniu świata.

Chińczycy wybrażają sobie początek świata następująco:

„Istniały ciemności wszędzie, nie było ani drzew, ani wód, ani zwierząt, ani człowieka.

Nagle okazała się jakaś olbrzymia kula, która pękła na dwie równe części. Z półkuli górnej utworzyło się niebo błękitne, z półkuli dolnej zaś urodzajna ziemia.

Z pękniętej kuli wyszła potężna istota nazwana Pun-Ku-Wong“.

„Pun-Ku-Wong po stworzeniu nieba i ziemi zawiesił prawą ręką na niebie złote słońce, aby pokonało ówczesną ciemność dnia i świeciło rubinowymi promieniami, lewą ręką zaś zawiesił srebrny księżyc, któryby oświecał ziemię w nocy, poczem rozsypał po niebie olbrzymią ilość świetnie błyszczących gwiazd, któreby też swoimi promieniami przebijały się przez ciemności i jaśniały w nocy.

Gdy to wszystko już urządził, wydobył swoją potężną siłą z ziemi morza, rzeki, stawy i jeziora, następnie wszelakiego rodzaju drzewa, skały i góry, wreszcie różne drogocenne kamienie i metale.

Przy wydobywaniu wód, stworzył Pun-Ku-Wong zwierzęta morskie i ryby, przy wydobywaniu lasów — zwierzęta leśne, gór — zwierzęta mające swoje siedziby w górach i t. d.

Po takim wreszcie urządzeniu świata zauważył Pun-Ku-Wong, że życie jest zbyt monotonne i dlatego postanowił stworzyć człowieka. I w tym celu wziął w prawą rękę kawał złota, w lewą kawał drewna, chuchnął w prawą i lewą rękę, wówczas ze złota wyłonił się mężczyzna, z drewna zaś kobieta. Pun-Ku-Wong stworzył mężczyznę jako wzór“.

I dlatego też w Chinach przyjęło się mniemanie, że mężczyzna nigdy nie kłamie i jest wogóle uosobieniem prawdy i uczciwości, kobieta zaś jest tchórzliwą kłamliwą i występną.

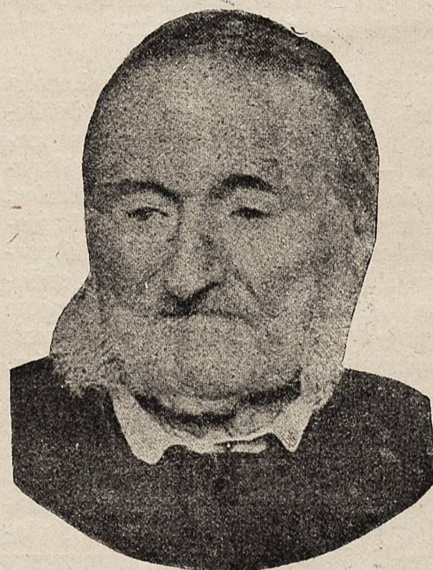


## Czy wszędzie zasłony ślubne są białe?

W Europie ślubna zasłona oblubienicy musi koniecznie być białą; stanowi ona symbol czystej duszy; w Persyi ślubny welon bywa zwykle szkarłatny, w Bucharze różowy. Zasłona panny młodej w Turcyi jest z brokatu przytykana złotem i srebrem, oraz ozdobiona drogiemi kamieniami. Rzymskie narzeczone nosiły welony żółte.

* * *
*





## Kraj stuletnich staruszków.

(m-m) Kalifornia jest krajem długowiecznych ludzi. Nie należy tam wcale do rzadkości, że ktoś żyje lat sto i więcej. Illustracya nasza przedstawia dwoje kalifornijskich staruszków, liczących każde po sto kilkanaście lat. Mr. Joe Olivet liczy 116 lat, trzyma się jeszcze krzepko, ma doskonały słuch i wzrok. 110-letnia Dordta Dudley cieszy się również dobrem zdrowiem i odznacza się zadziwiająco dokładną pamięcią.

# W dziewiczych krajach Afryki.

7 (Dalszy ciąg).

W kilka dni później, Holloway, maszynista, jego pomocnik i ośmiu palaczów szykowali machinę i napełniali węglem paleniska. Skończywszy to, pierwszy pomocnik wrócił do kapitana z raportem, że za pół godziny kotły będą pod parą.

— Dobrze — odpowiedział Noel krótko — możesz pan iść spać.

Noc pełno niepokoju upłynęła wreszcie dla kapitana i pomocnika jego, którzy nie schodzili z pokładu.

Przy pierwszym dnia brzasku dojrzeli czarny pasek, rysujący się o jakie pięć mil od statku — był to ląd. Nagle wydali okrzyk, powstrzymany w jednej chwili... Po drugiej stronie, na morzu, w odległości dobrej mili, pyszna fregata, która niezawodnie ich spostrzegła, pędziła ku nim pod żaglem i parą, dla przypatrzenia się bliższego. Kapitanowi dwie drogi pozostawały do wyboru: albo zebrać się na odwagę, płynąć dalej spokojnie, a w razie rewizyi powołać się na obecność pasażerów dla zamaskowania swej roli, albo też ze zbliżającym się prawdopodobnym nieprzyjacielem walczyć, kto szybszy. Nie wahał się ani na chwilę i obrał ucieczkę.

— Wszyscy na pokład! krzyknął, objąwszy dowództwo swym gromkim i energicznym głosem, znanym całej załodze w chwilach uroczystych.

Świstawka sierżanta powtórzyła komendę, a ledwie umilkła, kiedy wszyscy majtkowie byli na swoich miejscach.

— Do odwrotu — komenderował kapitan.

We dwie sekundy każdy chwycił się swego.

— Zwracaj — zawołał z podwojoną energią.

W tej chwili, chociaż wiatr nie zdeklarował się jeszcze, galiota z powolnością dobrze ujeżdżonego konia pod łydką jeźdźca, zgrabnie w tył się skręciła.

— Chwytaj wiatr! — rzekł szybko kapitan na sternika, a Osa stanąwszy z wiatrem, tyłem ku przylądkowi Lopez odwrócona, zaczęła pędzić na południowy-zachód z całą szybkością, na jaką jej smukły kształt i omasztowanie pozwalały. Wszystkie żagle, co do jednego podniesiono w jednej chwili, kapitan bowiem chciał sobie zrobić przyjemność pobicia wroga samemi tylko żaglami.

Widząc manewr Osy, fregata, która według wszelakiego prawdopodobieństwa chciała tylko dla ciekawości z nią się zaznajomić, boć trzeba coś robić, kiedy się pilnuje, zrozumiała natychmiast, że ma przed sobą statek podejrzany i jednym zwrotem rudla postanowiła zagrodzić jej drogę. Gonitwę swoją oznajmiła przedewszystkiem wystrzałem ślepym, wywieszając banderę i wzywając statek nieznany do wywieszenia swojej i zatrzymania się.

Osa naturalnie nic sobie nie robiła z ostrzeżenia, a wtedy rozpoczęła się gonitwa, w której z początku okręt strażniczy zdawał się brać górę.

— To Anglik, panie Verges — rzekł kapitan, który od niejakiego czasu nie odejmował od oka lunety.

— Te mlepiej — odpowiedział krótko pomocnik.

— Zdaje mi się, że chce nam przysłać kulę.

Ledwie to wymówił, kiedy zajaśniał burt fregaty i kula odbijając się od wody przeleciała o kilka kroków z tyłu „Osy“.

W tej chwili czterech pasażerów nawpół ubranych wybiegło na pokład, myśląc niewątpliwie, że to ich tak wita baterya na lądzie...

— Cóż to się stało, kapitanie? — spytał w imieniu swoich towarzyszów Giliasse przestraszony.

Druga kula lepiej wymierzona przeleciała świszcząc przez liny „Osy“, kładąc przycisk niejako na zapytanie chirurga.

— Co się stało, panowie — odpowiedział z szyderskim uśmiechem Le Noël, który nigdy nie był weselszym, jak podczas pogoni... a doświadczył ich już nie mało... — ależ nic szczególnego, daję panom słowo — korsarze poprostu nas ścigają...

— Korsarze, panie Le Noël — przerwał Toucas — ale czyż pan nie widzisz, że to okręt wojenny; jego flaga powiewa na tyle, a przez lunetę możesz pan odróżnić jego narodowość.

— Ależ nie, komisarzu, nie widzę nic tego, i zapewniam pana, że mamy przed sobą korsarza, tylko ten poluje na rachunek społeczeństwa, kiedy my. .

— Kiedy panowie!... — wtrącił młody porucznik.

— Kiedy my — odrzekł spokojnie Noël — polujemy na własny rachunek.

— A więc jesteśmy na pokładzie?...

— Statku niewolniczego.

Wyrazy te kapitana „Osy“, niepotrzebującego się już ukrywać, spadły jak piorun na czterech pasażerów.

— Mój panie — zawołał Toucas, nieposiadający się ze złości — możesz pan być pewnym, że o postępowaniu pańskiem wyprawię natychmiast raport do mojej władzy...

Ta apostrofa Toucasa w każdej innej chwili wywołałaby śmiech ogólny, ale teraz jeden tylko kapitan się uśmiechnął. Giliasse, który zaczął się już lękać o swoją skórę, rzucił się ku przyjacielowi ze słowami uspokojenia.

— No, no, Toucasie, nie unoś się zbytecznie, ja, widzisz — dodał z miną komicznego przekonania — znałem handlarzy niewolników, którzy byli jednakże bardzo zacnymi ludźmi!

Barthet i Guillois spoglądali na tę scenę z ciekawością pełną podziwienia raczej, niż gniewu. Byli młodymi, żądnymi wrażeń, a zdarzenie to mniej ich gorszyło, niżby przypuszczać można.

— Panowie wiecie—odrzekł Noël—czem jest kapitan na swoim statku i jakie posiada środki posłuszeństwa, sadzę więc, że skorzystacie ze słów moich, a wiatr obecny nie sprzyja długim rozmowom. Obecność wasza na pokładzie może być dla nas przeszkodą jedynie, raczcie się wynieść albo do salonu okrętowego, albo do kajut waszych. Jak skończę z tym Anglikiem, każę was poprosić i wtedy pomówimy. .

— Jednakże, kapitanie... — odezwał się Barthet, występując naprzód.

— Mój panie — przerwał mu gwałtownie Noël — muszę pana ostrzedz po raz pierwszy i ostatni, że kiedy rozkazuję, to nieposłuszny zostaje natychmiast okuty w kajdany.

Trzecia kula oderwała kawałek grot-rei. Fregata angielska zbliżała się widocznie. Czarny słup dymu, wydobywający się gwałtownie z jej komina, dowodził jawnie, że nie załowano węgla i starano się usilnie o przyspieszenie rozwiązania, które w kwadrans spełnić się miało.

— Ależ wynoście się, panowie! — krzyknął piorunującym głosem kapitan — kogo tu znajdę za dwie sekundy, wrzucę go na dno okrętu.

Ażeby widzieć, co się dziać będzie, pasażerowie rzucili się do salonu na tyle statku, gdzie dwa duże okna wychodziły na morze. Ale Toucas i Giliasse starali się tak umieścić, żeby ich kule nie dosięgły.

— Ktoby to mógł pomyśleć — mówili — żeby człowiek, mający tak doskonałe wina i tak poczciwą minę?... Ależ komisarz jeneralny w Bordeaux, jak mógł nas sadzać na tę galiotę?... Zresztą, za kilka godzin biedny kapitan i ludzie jego ciężko odpokutują za swoje zbrodnie, bo Anglicy w podobnym razie nie żartują...

W istocie, fregata angielska zdawała się widocznie brać górę. Ale w jednej chwili wszystko się zmieniło.

Od godziny przeszło Holloway palił pod kotłami. W mgnieniu oka znikła kajuta kucharza, ustępując miejsca olbrzymiemu kominowi, który ze spodu okrętu wzniesiono do góry, a kiedy odsunięto szybry, czarne, kłęby dymu buchnęły ku niebu.

Niebawem galiota widocznie oddalać się zaczęła od swego olbrzymiego przeciwnika.

Spostrzegłszy ten manewr, statek strażnicy ścigający „Osę“ nie przestawał strzelać, spodziewając się powstrzymać ją w biegu, uszkadzając silnie. Ale posiadał on armaty stare, nabijane z przodu, artylerya zaś podobna, wystarczająca przeciwko nędznym brygom niewolniczym portugal-

skim, nie posiadała odpowiedniej donośności, żeby dosięgnąć parowiec szybkonośny. Statek angielski był starą fregatą, wiek swój dożywającą na strzeżeniu niewolnictwa.

Widząc niewątpliwą wyższość biegu swego, kapitan Noël powziął myśl piekielną, którą natychmiast w czyn wprowadził, nie wahając się ani na chwilę.

— Panie Vergès! uderz w dzwon bojowy — rzekł do swego pomocnika. — Dawno już ludzie nasi nie mieli rozrywki. Trzeba ich zabawić nieco.

Na wydany rozkaz wszyscy się rzucili, nie myśląc bynajmniej o tem, czy „Osa" jest w stanie zmierzyć się z potężnym wrogiem. Gdyby kapitan prowadził ich do szturmu Etny, żaden z nich nie mruknąłby nawet.

W kilka minut dwanaście strzelnic, sześć w prawym, a sześć w lewym boku galioty zręcznie ukrytych w oburtowaniu, ukazało swe paszcze ziejące, a z każdej wyglądało żłobkowane siedmiocalowe działo, nabijane z tyłu; wszystkie zaś żagle opadły nagle, jakby pod wpływem różdżki czarodziejskiej.

Jak atleta wszystko z siebie zrzucający, coby mu w walce przeszkadzać mogło, tak „Osa" zrzuciła żagle, mogące jej w ruchach zawadzać i naga stanęła do boju, ufna w swą machinę jedynie.

Widząc, że galiota śmie stawać do walki z fregatą Jej Królewsko-Brytańskiej Mości, Giliasse i Toucas, strachem zdjęci, opuścili spiesznie salon, martwi raczej, niż żywi i zamknęli się w kajucie.

Dwaj inni pasażerowie przyglądali się z gorączkową ciekawością przygotowaniom, żałując w duchu, że sami udziału w walce przyjąć nie mogą.

Kapitan obserwował spokojnie bieg „Osy", a kiedy się przekonał, że przy średniem ciśnieniu pary łatwo odpowiednią odległość zachować może, spojrzał wesołem i wyzywającem okiem na swego przeciwnika i cisnął dwa wyrazy magiczne: „Wszystkie — pal!". Wystrzał wstrząsł galiotą od wierzchołka masztów do rufy.

— Brawo, Davisie, brawo, mój chłopcze! — rzekł Noel do młodego porucznika, który celował.

Kilka odłamków i parę lin przeciętych u masztów fregaty, dowodziły jego celności oka. Kule fregaty o trzysta metrów padały za „Osę".

Dzięki więc ulepszonemu uzbrojeniu i dalekonośnym działom ostatniej, walka nierówną była między fregatą wojenną o dwupiętrowych bateryach, mającą sześćdziesiąt armat i czterystu ludzi załogi, a zwyczajną galiotą o dwunastu działach siedmiocalowych i pięćdziesięciu ludziach. I pierwsza w gorszem znalazła się położeniu.

Lekka i szybka galiota uwijała się, jak mucha wokoło fregaty, trzymając się poza obrębem siągu jej artyleryi przestarzałej i obrzucając ją pociskami stalowymi, bez szwanku dla siebie.

Stara fregata, która niegdyś dzielnie się sprawiała wobec turecko-egipskiej floty pod Nawarynem, była dziś zacofaną o ćwierć wieku. Oporność jej na nic się nie zdała. Skoro sama atakować nie mogła, jako pływająca forteca była bezsilną wobec taktyki niepochwytnego swego nieprzyjaciela.

Nie upłynęło godziny, a pokład nieszczęsnej fregaty pokryty był jej odłamami, zawalony zabitymi i rannymi. Dowódca, z ową nieugiętą wytrwałością angielską, pomimo małego skutku swych usiłowań, nie przestawał strzelać bezużytecznie, starając się fortelem zbliżyć do „Osy". Cóżby bowiem mówiono o nim w marynarce angielskiej, gdyby fregata Jej Królewskiej Mości pierzchła przed galiotą?

W tej chwili statek angielski był całkowicie na łasce kapitana Noela. Na twarzy korsarza dziwny igrał uśmiech; nie myślał on wszakże ani na chwilę o względności dla olbrzyma, który w imię obowiązku znalazł się na jego drodze i w imię obowiązku miał zginąć.

— Dalej, chłopcy! — zawołał głosem stentora — przed zakończeniem pokażmy barwy nasze John Bullowi, niech ma ostatnią pociechę dowiedzenia się kim jesteśmy!

W tej chwili gwiaździsta bandera błysnęła na tylnym maszcie, powitana trzema szalonemi hura, a pod nią rozwinęła się czarna chorągiew, godło statków niewolniczych.

— A teraz — ciągnął dalej Noel — nabijajcie tylko pękającemi kulami. Davisei, moja duszo, celuj w poziom wody, a ręczę ci, że za chwilę fregata pójdzie pilnować handlu wśród morszczyzn i korali.

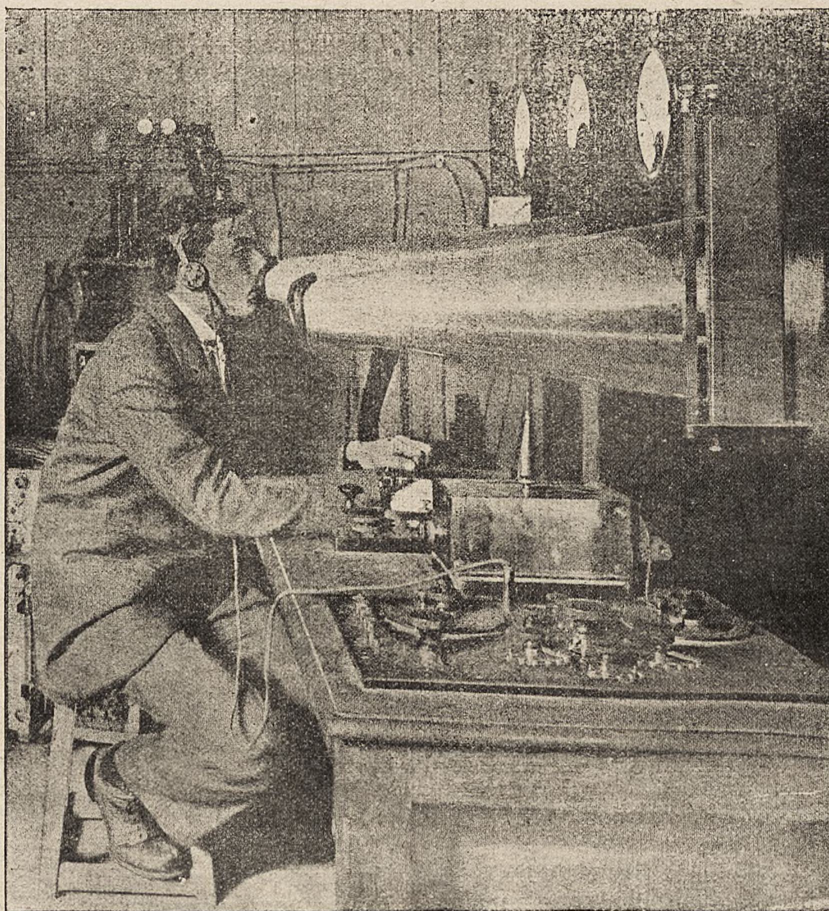
Odtąd „Osa" zwracała się jedynie to jednym, to drugim bokiem, dając ognia nieustannie i druzgocząc za każdym wystrzałem grube ściany przeciwnika.

Kiedy Barthet i Guillois, który nie był marynarzem, zrozumieli jednakże, że fregata straconą była, pomimo niebezpieczeństwa przestąpienia rozkazu, posłuszni jedynie popędom szlachetnym, wyskoczyli na pokład i zaczęli błagać kapitana, aby nie kończył dzieła zniszczenia.

— Daj pan pokój — rzekli — nieszczęśliwym, którzy ci już szkodzić nie mogą; toć im tylko zostaje tyle siły, żeby dowlec się i zatonąć na brzegu... Kapitanie, miej litość!...

Widząc ten ich krok szalony, majtkowie, znający Noela, pewni byli, że każe ich natychmiast wrzucić do morza... Tak się nie stało jednak.

(C. d. n.).



Telefon bez drutu.

*ALEKSANDER DUMAS.*

# HRABIA MONTE-CHRISTO.

6 (Ciąg dalszy).

— Kiedy tak — rzekł Caderousse — dajcie wina, wypiję zdrowie Edmunda i pięknej Mercedes!

— Piłeś już dosyć — rzecze Danglars — jeśli jeszcze pociągniesz, będziesz tu chyba nocował, bo oczywiście, że na swoich nogach nie utrzymasz się.

— Co, ja nie utrzymam się na własnych nogach? załóżmy się, że wyjdę sam na dzwonnicę tę oto, i to bez żadnej pomocy, ani się zachwieję.

— Dobrze, dobrze, nikt ani wątpi — rzekł Danglars — założę się, ale jutro, nad ziś już dosyć, no, daj rękę, i chodźmy.

— Chodźmy — rzekł Caderousse — ale obejdę się bez twojej ręki. Chodź z nami, Fernandzie, pójdziesz razem do Marsylii?

Danglars korzystając z dobrego usposobienia Caderoussa, pociągnął go za sobą w stronę ku Marsylii, i aby ułatwić wyjście krótszą drogą Fernandowi, sam udał się koło bramy św. Wiktora. Caderousse chwiejąc się, oparty na jego ręku, szedł także. Uszedłszy ze 20 kroków, Danglars obrócił się i dojrzał, z jaką szybkością Fernand rzucił się na papier i schował go do kieszeni; potem wybiegł z altany i puścił się jak strzała ku Pillon.

### Zrękowiny.

Nazajutrz, dzień był piękny słońce podniosło swoją czystą iskrzącą tarczę, a pierwsze purpurowej barwy promienie, rozrzuciły rubinowe blaski po spienionych fal grzbietach. Uczta przygotowaną była na pierwszem piętrze; wielka, piękna sala o pięciu czy sześciu oknach, nad każdem nazwisko wyryte pięciu wielkich miast Francyi.

Od jedenastej z rana balustrada napełniła się mnóstwem niecierpliwych przechadzających się, chociaż uczta dopiero na południową godzinę była oznaczoną. Wszyscy uprzywilejowani żeglarze i majtkowie Faraonu i kilku żołnierzy przyjaciół Dantesa, wszyscy wystąpili w świątecznych najparadniejszych ubiorach w dowód czci i szacunku dla narzeczonych. Wieść cicha rozeszła się między zaproszonymi na ucztę, iż sami nawet właściciele statku Faraon, uczczą obecnością swoją ucztę weselną porucznika okrętu. Uważano to jednak za tak wielki zaszczyt dla Dantesa, iż mało kto dawał tej wieści wiarę. Aż przybyły Danglars z Caderoussem potwierdził ją zupełnie. Widział bowiem z rana samego pana Morrel i z własnych jego ust słyszał, że przybędzie na ucztę Dantesa.

Jakoż na kilka chwil po nich, ukazał się w rzeczy samej i sam pan Morrel powitany głośnym i jednomyślnem hurra! przez majtków Faraonu.

Danglars i Caderousse pospieszyli do narzeczonego, aby mu donieść o przybyciu tak znakomitej osoby, której widok sprawił na obecnych nadzwyczajne wrażenie i oświadczył mu zarazem, iż wypada się pospieszyć z przyjęciem. Danglars i Caderousse pobiegli co żywo, ale zaledwie sto kroków uszli, gdy mały orszak weselny na górze składu prochowego ukazał się.

Orszak ten składał się z czterech młodych dziewcząt, przyjaciółek Mercedes z roku Katalonów, towarzyszących narzeczonej, którą pod rękę prowadził Edmund; obok narzeczonej jego szedł Dantesa ojciec, za nimi zaś Fernand z złośliwym na ustach uśmiechem. Ani Mercedes, ani Edmund nie widzieli tego uśmiechu. Biedne dzieci, w szczęściu swem nikogo prócz siebie nie widzieli i czystego błękitu nieba, które zdawało się im błogosławić.

Danglars i Caderousse zdali sprawę z swego poselstwa i po wzajemnem, silnem i niby przyjacielskiem uściśnięciu ręki z Edmundem, Danglars zasiadł przy Fernandzie, Caderousse zaś przy ojcu Dantesa.

Obok niego, jakeśmy już wspomnieli, wcisnął się Caderousse, ów Caderousse, który ciesząc się nadzieją dobrej uczty, pogodził się już zupełnie z Dantesem. W pamięci jego pozostało jeszcze jakieś głuche wspomnienie tego, co się poprzedniego dnia działo, jakto często nad ranem spotykamy w umyśle naszym mary snu, co nas w nocy napastowały. Danglars zbliżając się do Fernanda, rzucił nań wzrokiem, jak na wzgardzonego kochanka. Fernand postępując za przyszłemi małżonkami, widział się całkiem od Mercedes zapomnianym, bo dziewica w niewinnej swej radości, aż do egoizmu posuniętej i upojona miłością, widziała tylko swojego Edmunda. Fernand to bladł, to nagle czerwieniał. Kiedy niekiedy spoglądał w stronę Marsylii i drżenie nerwowe, mimowolnie przejmowało jego członki. Fernand zdawał się oczekiwać, albo raczej przewidywać jakiś wielki wypadek.

Dantesa ubiór był skromny; jako żołnierz marynarki kupieckiej, nosił strój pośredni między wojskowym mundurem a suknią cywilną, i w tym stroju, fizyognomia jego ożywiona jeszcze radością i wdziękami narzeczonej, wybornie wyglądała.

Gdy narzeczeni i ich towarzysze zbliżyli się już do miejsca urządzonej uczty, pan Morrel wyszedł na ich spotkanie w towarzystwie majtków i żołnierzy, którzy go otaczali i którym powtórzył obietnicę, poprzednio uczynioną, że Dantes obejmie miejsce kapitana Leclerc. Edmund spostrzegłszy go, opuścił rękę narzeczonej i podał panu Morrel, za nimi inni i całe grono weselne.

— Mój ojcze, — rzekła Mercedes, zatrzymując się przy stole, — siadaj przy mnie po prawej stronie, po lewej siądzie ten, co mi był bratem, dodała z taką słodyczą, że ta jak sztyletem dotknęła aż do głębi serce Fernanda. Usta jego pobladły, na twarzy ogorzałej męskiej barwy, widać było wydobywającą się i ustępującą krew. Dantes z swojej strony posadził Morrel po prawej ręce, po lewej ojca, następnie ręką wskazał każdemu jego miejsce.

Uczta się rozpoczęła podług zwyczajów i obyczajów miejscowych i stosowna do pory roku, i zakończyła owocami tak nazwanemi morskiemi jakoto z ostryg i tym podobnych przysmaków.

— Co za cudowne milczenie, — rzekł starzec, połykając z chciwością szklankę żółtego jak topaz wina, którą sam pan Panfil postawił przed Mercedes, — a ja myślę, że tu, jak nas jest trzydzieści osób, tak każda gotowa do szczerej wesołości.

— Ah, gdzie tam, nie zawsze może być wesołym człowiek, — rzekł Caderousse.

— Tak jestem szczęśliwy, że wesołości pustej oddać się nie jestem w stanie. Jeśli to w ten sposób rozumiesz, zacny sąsiedzie, to masz słuszność; dziwnie czasem objawia się radość, ona równie pochłania jak i boleść nasze siły.

Danglars nie spuszczał badawczego oka z Fernanda, na którego wyrazistej twarzy, malowały się wszelkie przyjmowane i doznawane wrażenia.

Fernand nie mógł usiedzieć na krześle, wzdrygał się na najmniejszy szmer i co chwila ocierał strumieniem spadający pot z czoła, błyszczący jak pierwsze krople deszczu w czasie burzy.

— Sąsiedzi — rzekł Dantes — Mercedes za dwie godziny będzie moją żoną!

Wyraz zadziwienia objawił się na wszystkich twarzach, wyjąwszy Dantesa, który śmiejąc się na całe gardło, pokazał piękne, białe jeszcze zęby. Fernand porwał konwulsyjnie za trzon noża.

— Za godzinę, — rzekł Danglars i pobladł — czy niezawodnie?

— Tak jest, moi przyjaciele, — odpowiedział Dantes, — dziękuję wpływom pana Morrel, któremu po ojcu najwięcej winien jestem w życiu, wszystkie trudności usunięte zostały, dałem na zapowiedzi i o godzinie pół do trzeciej w Marsylii oczekiwać nas będzie mer w ratuszu, a ponieważ kwadrans na drugą tylko co wybiło, spodziewam się, żem się nie bardzo omylił, mówiąc, że za dwie godziny Mercedes już będzie panią Dantes.

Fernand przymknął oczy; płomień błysnął z pod powiek; aby nie osłabnąć widocznie, oparł się o stół i pomimo największych usiłowań, nie mógł powstrzymać głębokiego westchnienia i jęku, które w tłumie wrzawy, śmiechu i powinszowań ucztujących, przeszły niespostrzeżone.

— To się nazywa nie tracić czasu! — rzekł stary Dantes, — jak myślicie, to się nazywa robić a nie spać. Wczoraj przybył, a dziś o godzinie trzeciej już się ożenił, jutro zaś może stanąć do pracy jako marynarz.

— Jednakże są jeszcze niektóre formalności, — wtrącił lękliwie Danglars, — akt ślubny, intercyza.

— Intercyza, — rzecze Dantes, uśmiechając się,— intercyza u nas gotowa: Mercedes nie ma nic, ja także, zostajemy więc pod opieką gminy, otóż wszystko; nie ma co wiele pisać, ani wiele za co płacić.

Żart ten obudził nowy wybuch wesołości i poklasków.

— A więc to, cośmy uważali za zrękowiny, jest poprostu, — rzekł Danglars, — weselem?

— A broń Boże, — odpowie Dantes. — nic tu państwo nie stracicie, bądźcie spokojni. Jutro rano wyjeżdżam do Paryża, pięć dni drogi tam, pięć dni na powrót, dzień jeden na miejscu dla sumiennego spełnienia poleceń mi danych, 12-go więc marca będę z powrotem, na 12-ty tedy marca prawdziwa uczta weselna.

Nadzieja nowej uczty tak dalece rozochociła biesiadników, że stary Dantes, który w początku obiadu uskarżał się na powszechne milczenie, teraz nie mógł, przy nawiększych usiłowaniach przyjść do słowa, aby złożyć serdeczne swe życzenia przyszłym małżonkom. Wszyscy naraz i razem zaczęli mówić i rozpowiadać, nikt nie myślał o odpowiedzi na zapytania, ale o własnej satysfakcyi. Bladość jednak Fernanda udzieliła się i twarzy Danglarsa, Fernand zdawał się zupełnie zmartwiałym i jak potępieniec w ognistem jeziorze. Pierwszy prawie wstał od stołu i zaczął przechadzać się dużemi krokami wzdłuż i wszerz sali, chcąc uwolnić uszy od wrzawy śpiewów i brzęku szklanek i kieliszków. W chwili, gdy Danglars, w zamiarze jakby ucieczki, chciał połączyć się w kącie sali z Fernandem, zbliżył się doń Caderousse.

— Przyznam się, — rzecze Caderousse udobruchany winem z piwnicy Panfila i uprzejmością gospodarza, pozbywszy się całkiem urazy i nienawiści, jakie niespodziane szczęście Dantesa w nim zrodziło, — przyznam się, że Dantes jest bardzo miły i zacny chłopak i kiedy go widzę przy boku swej narzeczonej, myślę sobie, żeby teżto była wielka mu się wyrządziła krzywda, gdybyście wasz żart, który wczoraj układaliście, przyszedł do skutku.

— Widziałeś przecie, — rzekł Danglars, że to pozostało bez skutku. Ten biedny Fernand był wczoraj tak strapiony, ze mi go rzeczywiście zal było bardzo z początku; ale teraz, kiedy się tak dalece oswoił, ze przyjął charakter pierwszego druzby na weselu swego współzalotnika, rzecz poszła w zapomnienie, nie ma tez o czem i mówić.

Caderousse spojrzał na Fernanda jak trup pobladłego.

— Ofiara tem większa, — mówił następnie Danglars, — im piękniejsza dziewczyna, którą traci. Do milion dyabłów, to szczęśliwiec ten nasz przyszły kapitan- Chciałbym choć przez dwanaście godzin nazywać się Dantesem.

— Chodźmy już może? — ozwał się słodki głos Mercedes, — druga godzina wybiła, a na nas mają tam czekać o kwadrans na trzecią.

— A chodźmy już, chodźmy — rzekł Dantes podnosząc się nagle.

— Chodźmy powtórzyli chórem goście.

W tejże chwili Danglars, który nie spuszczał z oka Ferdynanda siedzącego przy oknie, spostrzegł, jak ten otworzył zbłąkane oczy, powstał nagle, jakby piorunem rażony i upadł napowrót w miejsce, gdzie siedział. Jednocześnie prawie rozległ się głuchy szmer na schodach, stuk pomięszany z różnemi głosami i szczękiem broni przytłumił okrzyki biesiadników jakkolwiek wrzaskliwie, i zwrócił na się powszechną uwagę, którą objawiło jedno ogólne milczenie. Odgłos się zbliżał, nakoniec trzy mocne uderzenia we drzwi dały się słyszeć, spojrzeli wszyscy po sobie.

— W imieniu prawa, ozwał się głos brzmiący, któremu nikt nie śmiał odpowiedzieć.

Drzwi się otworzyły i wszedł komisarz przybrany w znaki swego urzędu z czterema zbrojnymi żołnierzami i sierżantem. Trwoga zajęła miejsce niespokojności.

— Co to jest? — zapytał pan Morrel postępując do komisarza, którego znał osobiście; niezawodnie jakaś pomyłka.

— Jeśli pomyłka, panie Morrel dobrodzieju, bądź pewny, że się natychmiast sprostuje. Tymczasem mam rozkaz aresztowania; jakkolwiek przykro mi bardzo, że muszę dopełnić takiego zlecenia, jednak dopełnić trzeba. Kto z was moi panowie nazywa się Edmund Dantes?

Wszystkich oczy zwróciły się na młodzieńca, który lubo mocno wzruszony, zachował jednak spokój i postąpił parę kroków naprzód:

— Ja jestem Dantes, czego pan żądasz?

— Edmundzie Dantes, aresztuję cię w imieniu prawa.

— Aresztujesz mię pan! — rzekł Edmund i zbladł lekko; ale za co mię pan aresztujesz?

— Ja mój panie, nie wiem za co, ale pierwszy twój inkwirent powie ci niezawodnie.

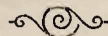
Pan Morrel zrozumiał to dobrze, że żaden opór nie zda się na nic. Stary Dantes jednak zaczął prosić i błagać; łzy i prośby nie pomagały, rozpacz jego jednak była tak wielką i okropną, iż wzruszyła komisarza.

— Panie drogi, uspokój się, być może, że syn twój nie dopełnił jakiej formalności na komorze lub w kwarantannie,, a podług wszelkiego prawdopodobieństwa, skoro od niego samego powezmą potrzebne wiadomości i objaśnienia, uwolnią go natychmiast.

— Co to jest, co to wszystko znaczy? — zapytał Caderousse Danglarsa, marszcząc brwi i udając zdziwionego.

— Czyż ja wiem? — rzekł Danglars; tak, jak i ty nic nie wiem, widzę co się dzieje i wraz z tobą dziwię się i przykro mi bardzo.

(C. d. n.)



# Przygody Shacletona

## pod biegunem południowym.

**Wyprawa na odkrycie nieznanego lądu. — Kilkumiesięczne błąkanie się po morzu. — Zatonięcie okrętu. — Mieszkanie na krze lodowej. — Cudowne ocalenie.**

**Kraków,** 9 grudnia.

Na półkach księgarskich Londynu pojawiła się książka p. t. „Biała wojna“, zawierająca opowiadanie z podróży Shacletona do bieguna południowego.

Pięć lat temu Shacleton z garstką straceńców wyruszył ponownie na odkrycie bieguna południowego, względnie istniejącego pod biegunem tym stałego lądu, podczas gdy biegun północny stanowi jakby rodzaj czapki lodowej, zakrzepłej na bezmiarach Lodowatego oceanu.

Zamiarem Shacletona było przejście wszerz owego lądu, od morza do morza, na przestrzeni 1800 mil. Przedsięwzięcie to, którego nie udało się dotąd nikomu dokonać, nie powiodło się i tym razem odważnym podróżnikom, ale przygody ich i wrażenia, jakie przeżyli są tak przejmujące, że grozą i interesującem napięciem przewyższają wiele fantastycznych baśni Juliusza Verne'a, lub Edgara Poe.

W grudniu 1914 r., to jest w sezonie najodpowiedniejszym do takiej wyprawy, wyruszyło grono podróżników pod wodzą Shacletona na statku „Endurance“ z południowej Georgii, w nadziei, że uda się im dopłynąć do podbiegunowego lądu. Statek wyposażony był we wszystkie niezbędne urządzenia, w żywność i aparaty. Kra puściła już na morzu Południowem, zapowiadając podbiegunowe lato, mimo to już po sześciu tygodniach „Endurance“ uwięzła miedzy ruchomemi krami, które uniemożliwiły jej posuwanie się w obranym kierunku; dziewięć miesięcy trwał ten stan niepewności i błąkania się, aż przyszło drugie podbiegunowe lato i kry naciskać zaczęły z taką furyą na samotny statek, iż załoga widziała, że lada chwila grozi mu zmiażdżenie, opuściła więc pływający przytułek, zabierając z sobą trzy łodzie i trochę niezbędnych przedmiotów i zamieszkała na krze. We trzy dni potem „Endurance“ poszła pod wodę. Położenie rozbitków stało się bezprzykładnie groźne. Mieszkali na lodowej krze, która lada chwila mogła im się otworzyć pod stopami. Przebyli w ten sposób kilka miesięcy, żywiąc się ułowionemi rybami, mięsem fok itp. Wreszcie skoro morze oczyściło się trochę, wsiedli na łodzie i zaczęli płynąć, poczem udało im się wylądować na bezludnej wyspie Słoniowej. Stąd uchwalono wysłać wycieczkę do południowej Georgii, dla sprowadzenia pomocy. Wycieczka ta, prowadzona przez Shacletona, jest chyba najdramatyczniejszym epizodem podróży. Z sześciu, trzech tylko doszło do południowej Georgii. „Gdyśmy szli tak we trzech przez śniegi i lodowce — pisze Shacleton — miałem wyraźną świadomość, że sam Bóg kieruje naszymi krokami. Zdawało mi się wciąż, że ktoś czwarty kroczy z nami, tego samego uczucia doznawali moi towarzysze, do czego się dopiero później przyznali“. Krótkie streszczenie nie może dać oczywiście wyobrażenia o wartości książki Shacletona, która wzbogaca jednym więcej hejnałem bogatą literaturę podróżniczą.

---

# Paryż ogarnął szał taneczny.

**Metropolia świata tańczy. — Wszystkie sale tańca przepełnione. — „One step“ i fox troot“ królują. — Jest to konsekwencyą wojny.**

Felietonista „Temps“ pisze p. t.: „La dansomanie“ ciekawy artykuł o tym szale tanecznym, który ogarnął Paryż. To, jak się okazuje, epidemia równie niebezpieczna, jak grypa hiszpańska. Codzień zostaje otwarta nowa sala tańca, a we wszystkich brak miejsca i ścisk niesłychany, bo tam się tańczy do upadłego „one step“ lub „fox trottą“.

A przecież był czas, mówi kronikarz dziennika francuskiego, i to niezbyt odległy, gdy młodzi ludzie buntowali się przeciw tej bezmyślnej zabawie kręcenia się w kółko. Ochota do tańca osłabła znacznie we Francyi. Na wieczorach panie domu musiały się uciekać do wszystkich podstępów, by zmuszać ofraczonych panów do puszczenia się w pląsy od czasu do czasu. Musiano na wielkich balach w Elizeum uciekać się do pomocy młodzieży z politechniki i akademii, by zaradzić temu, iżby młode dziewczęta nie „pietruszkowały“ do rozpaczy.

### Aż przyszedł szał tanga...

Spotęgował on ochotę do tańca przez swą dziwaczność, dziwny rytm, trudny do uchwycenia. Nie mówiło się o tem głośno, że nawet w świecie — dans le monde — działy się przy tango trochę skandaliczne historyjki!

I oto dzisiejszy szał taneczny — to „dansowanie“ nie jest niczem innem, jak następstwem wojny, podobnie jak szaleństwo taneczne ogarnęło społeczeństwo francuskie tuż po rewolucyi, a Gardel wystawiał na scenie Opery piękną pantominę p. t. „La Dansomanie“.

Ten moment zachodzi zawsze jako następstwo wszystkich ciężkich, smutnych epok, które dały ludziom poznać ułomność i kruchość naszej egzystencyi i niepewność spraw ludzkich w wielkich chwilach dziejowych.

Człowiek, który widział, jak bezkarnie szalała śmierć na polach bitwy, uczuł potrzebę wyżycia się w szaleństwie, zaznania wszystkich rozkoszy i dreszczy życia, nim bezlitosna kosa śmierci dotknie go zimnym żelazem.

I dlatego Paryż tańczy, pławi się w dzikim „one stepie“, szaleje w „tango“ i „fox trocie“. Tańczy, tańczy cały świat, niby w myśl dewizy „a pres nous le deluge“.

---

# Głodni rodzice wydzierają dzieciom żywność!...

**Obrazki z głodującego Wiednia.**

Wiedeń, to miasto jeszcze przed kilku laty wesołe i bogate, słynące z pysznych białych bułek, smakowitych sznycli i wiedeńskich kiełbasek, doskonałej kawy z bitą śmietaną i t. p. specyałów — obecnie przymiera głodem. Stolica naddunajska pozbawiona jest prawie zupełnie nabiału, mięso tam szalenie drogie, nawet końskie. Amerykańska misya ratunkowa, która spieszy z pomocą głodującym Wiedeńczykom, wydaje żywność tysiącom dzieci. Dotychczas na wypadek choroby dziecka mogli rodzice brać jedzenie „amerykańskie“ do domu. Kontrola wykazała wszakże, że częstokroć choroba jest zmyślona, bo rodzice chcą także skorzystać z wydawanej przez amerykańską misye żywności. Dalej stwierdzono, że rodzice domagają się, aby dzieci przynosiły do domu kawałki chleba, mięsa, leguminy, a jeśli dziecku nie uda się nic „skręcić“, to czekają je w domu razy!...

Rodzice wydzierają jadło swym dzieciom!... Ohydne to, ale zarazem tragiczne, bo chyba tylko głód, prawdziwy głód może rozpętać w ludziach taką potęgę instynktów zwierzęcych... Słusznem też jest określenie, że Wiedeń umiera. Walka rodziców z dziećmi o pożywienie i tym podobne równie brutalne przejawy — to ostatnie drgawki konającego organizmu naddunajskiego miasta.

Wiedeń, ten tak niedawno jeszcze wesoły, bogaty, kipiący życiem Wiedeń, który naśmiewał się z „galicyjskiej nędzy“ i „polskiej gospodarki“— umiera dzisiaj z głodu...

---

*ARTUR CONAN-DOYLE.*

# Widmo przeszłości.

7 (Ciąg dalszy).

Tak skończyło się to dziwne spotkanie, na początku którego stary generał mierzył we mnie z pistoletu, a w końcu uznał za ewentualnego zięcia. Naprawdę, nie wiedziałem, czy mam się cieszyć, czyli też smucić.

Z jednej strony było prawdopodobnem, że zacznie teraz bacznie strzedz córkę, aby przeszkodzić jej widywać się ze mną, z drugiej zaś obiecał mi pozwolić kiedyś wznowić moje starania. Ostatecznie zdecydowałem się, że spotkanie to polepszyło nasze położenie.

Co raz do tajemnicy Cloomber-Hall, jedna rzecz uderzyła mię nadewszystko. I ojciec i syn mówili, że choćby nawet wyjaśnili mi, jakie im grozi niebezpieczeństwo, to prawdopodobnie nie zrozumiałbym całej jego ważności.

## VII.

### Kapral Ruf Smith zjawia się w Cloomber.

Od czasu rozmowy z generałem dwa razy dziennie podchodziłem do Cloomber Hall, aby się przekonać, czy spokój jego mieszkańców nie został naruszony. Zauważyłem, że otwór w ścianie zabito deskami.

Dwukrotnie spotkałem generała, który pozdrowił mię życzliwie, nie czyniąc wszakże najlżejszej aluzyi do naszej poprzedniej rozmowy.

Pewnego dnia, a było to drugiego października, szedłem do Cloomber, w nadziei dowiedzenia się czegośkolwiek o mej narzeczonej, której nie widziałem od owego pamiętnego dnia. Nagle spostrzegłem przed sobą człowieka, który siedział na kamieniu przy drodze.

Nie był to mieszkaniec z pobliskich ferm, a wnosząc zaś z jego zniszczonego i zakuronego ubrania, musiał przybywać zdaleka. Na trawie obok niego leżał duży kawał chleba, w ręce trzymał składany nóż. Podróżny skończył widocznie śniadanie, gdyż strząsnął z kolan okruszyny chleba, a zobaczywszy mię, wstał.

Był bardzo wysoki, twarz zaś jego nie wróżyła łagodności, ani dobroci.

Stanąwszy na środku drogi, zagrodził mi ją, jakby nie chcąc puścić mię dalej.

— No, mój kochany — rzekłem, usiłując zachować spokój — co mogę uczynić dla ciebie?

Wiatr i słońce nadały twarzy jego przykrą, ziemistą barwę; od ust aż do ucha ciągnęła się głęboka blizna, co go bynajmniej nie upiększało. Głowę miał dobrze już przyprószoną siwizną, futrzana zaś czapka, zsunięta na bok nadawała mu zuchwały, wojskowy wygląd. Ogólne wrażenie moje było, że jest to jeden z najniebezpieczniejszych włóczęgów, jakich kiedykolwiek w życiu spotykać mi się zdarzyło.

Zamiast odpowiedzieć na pytanie, nieznajomy przypatrywał mi się długą chwilę żółtemi, ponuremi oczyma, poczem zamknął nóż i schował go do kieszeni.

— Pan nie jest z policyi — powiedział nagle. — Za młody jesteś na to. Łapali mię w Pisley, łapali w Wichtowne, ale przysięgam, że jeżeli teraz ktokolwiek z nich podniesie na mnie rękę, popmaięta do śmierci Rufa Smitha. Miły kraj, niema co mówić, najprzód nie chcą dać człowiekowi roboty, a później aresztują go za to, że nie posiada środków do życia!

— Przykro mi widzieć starego żołnierza w tak smutnem położeniu; w jakim pułku służyliście?

— W królewskiej artyleryi konnej. Niech ją dyabli porwą. Skończy mi się niedługo sześćdziesiątka, a otrzymuję marne 40-ci funtów rocznie.

— Sądzę, że to niezła pomoc na stare lata — zauważyłem.

— A jak pan myśli, ile kosztuje taka rana? — zawołał, podsuwając mi pod oczy ohydnie zeszpecony policzek. — A moja noga, przebita kulą? A moja wątroba, podobna do gąbki? A febra, która mię chwyta, jak tylko zawieje wiatr ze wschodu? Czy zgodzi się pan wziąć to wszystko za marne 40-ci funtów rocznie! Co?

— My, mieszkańcy tej okolicy, nie obfitujemy w dostatki — odpowiedziałem. — Tutaj uważanoby was za bogatszego człowieka.

— To znaczy, że mieszkańcy tutejsi są głupi! — rzekł, wyjmując z kieszeni czarną fajkę i nabijając ją ordynarnym tytoniem. — Ja wiem, jak należy żyć i jak mam pieniądze, nie żałuję sobie niczego. Walczyłem za moją ojczyznę, ona jednak dała mi dyablo mało. Powiedz pan — rzekł on po dłuższem milczeniu, czy nie słyszałeś tutaj o generale Levis'ie, dowódcy 41-go Bengalskiego pułku? W Wichtowne mówili mi, że mieszka gdzieś w tej okolicy.

— Generał mieszka w tym wielkim domu — odparłem, wskazując wieżę Cloomber-Hall'u. — Ostrzegam was tylko, że niezbyt lubi gości.

Ruf Smith nie dosłyszał nawet mych ostatnich słów, gdyż zaledwie wskazałem mu drogę, kulejąc, począł iść naprzód.

Zdumiony tak niespodziewanem zakończeniem dziwnego spotkania, stałem bez ruchu, spoglądając za odchodzącym; nagle przyszło mi na myśl, że ze spotkania tego zuchwałego i grubijańskiego człowieka z porywczym generałem mogą wyniknąć bardzo poważne następstwa. Poszedłem więc za kapralem i dogoniłem go przy bramie Cloomber-Hall'u.

— To chytry, stary szakal — rzekł Smith, wskazując głową siedzibę generała. — To zadziwiająco zły, stary pies.

— Rodziłbym wam wyrażać się nieco oględniej, generał nie zniesie tego.

— Ma pan słuszność, z nim zawsze trudno było dojść do ładu. Ale czy to nie on idzie tu przez aleję?

Istotnie, ujrzałem generała; prawdopodobnie zobaczył nas, lub usłyszał nasze głosy.

— Robi rekonesans — rzekł mój towarzysz i zaśmiał się złośliwie. — Boi się, ja zaś wiem z jakiego powodu. Staruszek nie ma ochoty wpaść w zasadzkę. Już on potrafi uciec, gdy tamci tu przyjdą.

Nogle wspiął się na palce, a wychyliwszy się przez bramę i wymachując rękami, zawołał:

— Chodź pan, mój dzielny komendancie, chodź pan, brzeg czysty, niema wrogów.

To poufałe obejście uspokoiło generała, chociaż na jego twarzy czytałem wyraźnie gniew i wzburzenie.

— Pan tutaj, mr. West — rzekł, spoglądając na mnie. — Czego pan chce i po co przyprowadził pan ze sobą tego człowieka?

— Nie miałem potrzeby przyprowadzać go tutaj, sir — odpowiedziałem. — Spotkałem go na drodze, zapytał mię, gdzie pan mieszkasz, wskazałem mu więc pański zamek.

— Czego chcecie odemnie — surowo zapytał generał, zwracając się do kulawego kaprala.

— Jestem starym artylerzystą i byłem w służbie królowej, sir, znałem pana w Indyach; pomyślałem, że weźmie mnie pan do służby, jako ogrodnika, lub też da mi pan jakieś inne zajęcie u siebie.

— Niestety, nic nie mogę dla was uczynić — odparł surowo stary generał.

— W takim razie może mi pan da nieco drobnych na dalszą drogę — nalegał Ruf uniżonym głosem. — Nie zechciałby pan przecie, aby stary towarzysz umarł z głodu dla kilku nędznych rupii. Byłem z pańską brygadą w górskich wąwozach, sir i brałem udział w powtórnem wzięciu Kabulu.

Generał Levis spojrzał uważnie na swego rozmówcę, nic jednak nie odpowiedział.

— Byłem z panem w Ghuzni. Wybadaj mnie pan, a przekonasz się, że mówię prawdę. Przeżyliśmy razem te straszne wypadki w młodości, a teraz, kiedyśmy się zestarzeli, pan mieszkasz we wspaniałym domu, ja zaś muszę umierać pod płotem. Zdaje mi się, że to jest niezbyt sprawiedliwie.

(C, d. n.)



# HUMOR i SATYRA.

## Powrót z tamtego świata.

### (Humoreska).

Kiedy Jan Blows przyszedł do domu i powiedział żonie, że znowu stracił miejsce, pani Blows najprzód wybuchnęła głośnym płaczem, w którym niezwłocznie zawtórowały jej dzieci, a następnie obsypała go gradem najstraszniejszych wymysłów i wyrzutów.

Blows oburzony zupełnym brakiem sympatyi ze strony swojej połowicy i potomstwa, cisnął na ziemię garść drobnej monety i wyszedł z domu, zapowiadając, że więcej tu nie wróci. A możeby istotnie spróbować szczęścia gdzieindziej? w rodzinnem miasteczku jakoś mu się nie wiodło. Dla lepszego namysłu usiadł w chłodku nad rzeką, wypaliwszy fajkę, zdrzemnął się, co w każdym razie stanowi dowód czystego sumienia.

Zbudził go przeraźliwy okrzyk. Blows nagle zerwał się i zobaczywszy w pobliżu tonącego chłopca, Billa Clements, więc wszedł w wodę niezbyt głęboką w tem miejscu... i wyciągnął go. Chłopak nawet mu nie podziękował i z płaczem pobiegł do domu.

Blows spostrzegł, że czapka jego popłynęła z prądem, ale machnął ręką na tę stratę i według swego poprzedniego zamiaru poszedł w świat.

Trzy miesiące zeszło mu na włóczędze, przerywanej czasem pracą; po upływie tego czasu Blows postanowił wspaniałomyślnie przebaczyć żonie i wrócić do domu. Był już tylko o pół mili od miasteczka, kiedy zobaczył przed sobą wóz naładowany słomą, a na nim znajomego mieszczanina, Cartera, kiwającego się we śnie.

— Zrobię mu niespodziankę — rzekł do siebie Blows i wdrapawszy się na wóz z tyłu, położył się na słomie.

— Jak się masz, Joe? — rzekł.

Mieszczanin otworzył jedno oko, ale nie widząc nikogo, wyobraził sobie, że mu się przyśniło.

— Ja patrzę na ciebie, Joe — żartobliwie powiedział Blows.

Carter otworzył oba oczy i odwróciwszy się, ujrzał przy świetle księżyca wyglądającą z ponad słomy twarz Blowsa, szczerzącego zęby. Z okrzykiem przestrachu zeskoczył na ziemię i zaczął uciekać.

— Co jemu się stało? — mruknął zdumiony Blows — zmyka, jak zając.

Na szczęścia stara szkapa nie była płochliwa i wlokła się dalej. Blows był bardzo rad z furmanki i zesiadł dopiero koło cmentarza, położonego niedaleko domu Cartera. Jakiś człowiek spotkał go koło muru cmentarnego, wzniółszy ręce do góry, skoczył na bok ze zwinnością akrobaty i z przeraźliwem wrzaskiem zaczął uciekać, gdzie go oczy poniosą.

— Poszaleli, czy co? — mruknął oburzony Blows.

Dochodząc do swego domu, zwolnił kroku. Ozwały się w nim wyrzuty sumienia, a przytem zaczął zastanawiać się poraz pierwszy, z czego żona i dzieci żyły podczas jego nieobecności.

Zajrzał do kuchni i zobaczył żonę, szyjącą przy lampie. Na odgłos kroków podniosła głowę i padła, jak długa na ziemię. Widząc, że zemdlona, mąż porwał dzbanek wody i chlusnął jej w twarz. Ten środek okazał się skutecznym: podniosła się i z płaczem rzuciła mu się na szyję.

— Ach! mój drogi — rzekła — myślałam, żeś umarł: pochowaliśmy cię miesiąc temu.

— Pochowaliście mię!? — zdumiał się Blows.

Obejrzawszy się po izbie, Blows zobaczył beczułkę piwa i nalał sobie szklankę.

— Doskonałe piwo — rzekł, kosztując — nie żałowałaś sobie podczas mojej nieobecności.

— To z twego pogrzebu — objaśniła żona — przywieźli dwie beczułki, ale nawet jednej całej nie wypili.

— Ale jakim sposobem mogliście mnie pochować bezemnie? — dopytuje się Blows.

— Widocznie to była pomyłka. Ale jaki miałeś pogrzeb. Jasiu, szkoda, żeś go nie widział! Prawie całe miasto szło za trumną, orkiestra amatorska grała marsza żałobnego, bractwo Wielbłądów, do którego przedtem należałeś, wystąpiło z chorągwiami, cała trumna była pokryta kwiatami, a jeden wieniec kosztował aż dwieście koron.

Blows zarumienił się z radości i dumny; ani nawet przypuszczał, że współobywatele tak wysoko go cenili.

— Niepotrzebnie zmarnowało się tyle pieniędzy — mruknął.

— To nie moja wina — usprawiedliwiała się żona — tego dnia coś wyszedł z domu; mały Bill przybiegł do domu cały mokry i powiedział, żeś wyciągnął go z wody. Ponieważ nie wróciłeś ani tego dnia, ani następnego, wszyscy myśleli, żeś się utopił, szukali w rzece i znaleźli tylko czapkę. Dopiero miesiąc temu wyłowili jakiegoś topielca, tak samo ubranego, jak ty. Byłam pewna, żeś to ty, chociaż twarzy nie mogłam poznać. Przypuszczano, żeś zginął, ratując Billa i dlatego wyprawili ci taki suty pogrzeb, Myślę, że teraz będę musiała oddać pieniądze.

— Jakie pieniądze?

— Które dla nas zebrano: trzy tysiące koron.

— Gdzie one są? — zapytał Blows, drżąc z radości.

— Nie mam ich. Umieszczone są w kasie bractwa Wielbłądów, które płaci mi tygodniowo dziesięć marek.

— Ani się waż oddawać grosza! — krzyknął Blows — idź do komitetu bractwa i proś o kapitał, gdyż chcesz wyjechać do Australii. Wyślij dzieciaki do matki, a ja będę siedział na górze. Dwóch ludzi tylko mnie widziało, a i ci wyobrażają sobie, żeto mój duch.

Blows trafnie odgadł. Całe miasteczko poruszone było tą nadzwyczajną nowiną.

— Psie figle jeszcze po śmierci się go trzymają — odpowiedział zgorszony Carter — wysunął łeb z ponad słomy i powiedział: „Ja patrzę na ciebie, Joe".

— Trzeba go było wysłuchać — rzekł surowo jeden z sąsiadów — może chciał coś powiedzieć: byłby już dał wam pokój.

— Może chciał was ostrzedz, że śmierć się zbliża — dorzucił ktoś trzeci — na wszelki wypadek jabym wam radził trochę się przygotować: to nigdy nie zaszkodzi.

W bractwie Wielbłądów zdziwiono się, że chce opuścić grób bohatera i przyznano jej o jedną koronę więcej tygodniowo. Blows ze złości cisnął pieniądze o ziemię, ale ponieważ przykrzyło się siedzieć ciągle w domu, w nocy wymknął się na przechadzkę. Spotkał tylko konstabla, który rozchorował się z przestrachu.

W miasteczku nikt już nie wątpił, że pani Blows „straszy". Bractwo Wielbłądów przypuszczając, że nieboszczyk jest niezadowolony z zamówionej dla niego kamiennej tablicy, uchwaliło wystawić mu pomnik z różowego marmuru.

Blows dowiedziawszy się o tem, o mało nie wściekł się ze złości, na pociechę wypił resztę piwa z beczułki. To mu rozjaśniło w głowie: postanowił sam pójść do bractwa i zażądać kapitału.

Ukazanie się jego na ulicy wywołało ogólny popłoch: bojaźliwi zmykali z okrzykiem, odważniejsi przyglądali mu się zdaleka i wkońcu doszli do przekonania , że to nie był duch, lecz żywy człowiek. Otoczony gromadą ludzi, Blows wkroczył na posiedzenie bractwa Wielbłądów, gdzie z początku zrobił Wielbłądów. Wrażenie piorunujące!...

Przyszedłem po moje pieniądze — rzekł ostro. — Trzy tysiące koron, nie chcę żadnego nagrobka...

— Aj! A! co robicie!

Ten okrzyk został wywołany ruchem prezydenta, który zapomocą parasola chciał się przekonać, czy przed nim stoi duch Blowsa, czy też on sam w cielesnej swojej powłoce. Sprawdziwszy, że to nie jest duch, ochłonął z przestrachu, rzekł uroczyście:

— Bardzo mi przykro, że nastąpiła pomyłka, z drugiej jednak strony cieszę się, że pan Blows zmartwychwstał i będzie mógł z własnej pracy utrzymać żonę i dzieci. Zebrane pieniądze odda się napowrót tym, którzy je złożyli.

Zanim Blows zdążył wyrazić swoje oburzenie, dwóch członków wyprowadziło go z sali.

* * *

# Do P. T. Kupców i Przemysłowców!

Młode nasze pismo rozbudziło w szerokich sferach społeczeństwa ogromne zainteresowanie i zyskało sobie wielką poczytność. — **„Życie i Powieść“** w tysiącach egzemplarzy idzie do miast, miasteczek i wsi. To też inserowanie w naszem piśmie przedstawia dla P. T. Kupców i Przemysłowców wielkie i niechybne korzyści. Należy pamiętać, że grosz na reklamę wydany sowicie się procentuje.

Wiersz jednoszpaltowy ogłoszenia w „Życiu i Powieści“ kosztuje 2 korony.

Wiersz w tekście redakcyjnym — 5 koron.

Ogłoszenia przyjmuje Administracya „Życia i Powieści“ Kraków, Karmelicka 16, oraz wszystkie krajowe Biura dzienników i ogłoszeń.



Redaktor odpowiedzialny: M. J. Migo. Wydawca: Spółka Wydawnicza „Życie i Powieść“.
Drukarnia „Głosu Narodu“ w Krakowie, ul. św. Tomasza 35.